

WSPOMNIENIA

Wspomnienia Dominika Wośki

Służba wewnętrzna

Dowódca kompanii, obecnie już sztabskapitan, Leonow nie był zachwycony naszym przygotowaniem w szkole podoficerskiej. Krytykował, że tam niczego nie nauczyliśmy się, że jego żołnierze więcej umieją niż my po szkole. W pewnym sensie to i miał trochę racji. W szkole bowiem nie uczono nas praktycznie w zakresie celowania do celu, o czym się przekonałem na własnej skórze. Szkoła nie rozporządzała żadnymi przyborami kontrolnymi celności.

Moje dyżury w kompanii nie należały do udanych (21 VI, 8 VII, 19 IX). W czasie nocnej kontroli zarzucił mi, że nie dbam o czystość powietrza w koszarach, nie otwieram okien w czasie snu żołnierzy. Zapisał moje nazwisko. Tylko patrzyłem, czy nie wyśle mnie na front z najbliższą 52. kompanią razem ze Stanisławem Gałkowskim z Urzędowa, który sam na ochotnika zgłosił się do wyjazdu. Zostałem. W czasie przeglądu i kontroli kompanii na front pułkownik uznał, że kompania nie jest jeszcze należycie przygotowana. Za złe przygotowanie ukarał dowódcę kompanii surowym upomnieniem. Dał jeden tydzień na wyrównanie niedociągnięć. Dowódca odegrał się na nas. Musieliśmy ćwiczyć przez 2 niedziele, skrócił poobiedni odpoczynek z 2 godzin na 1 godzinę, przeprowadził 4 ćwiczenia nocne polowe na stepie. Drugi przegląd wypadł już dobrze. Kompania odjechała na front, a ja zostałem nadal do ćwiczenia następnej partii starych poborowych, przeważnie Tatarów, Kirgizów, Czuwaszów. Ciężka to była praca. Oni nie rozumieli języka rosyjskiego, a my ich mowy. Często przychodził nam z pomocą drużynowy, tatar i rekrut, Małych – Rosjanin, który znał język baszkirski, a przed przyjściem do wojska służył u bogatego Baszkira koczownika.

Na stepie

2 VIII 1915 r. wyruszyliśmy z koszar do obozu łagrów rozłożonych na stepie w odległości 4 km od miasta. Objuczeni do granic możliwości, maszerowaliśmy przez drewniany most zbudowany w maju, gdy rzeka Ural pozbyła się zimowego lodu grubości około 50 cm. Most ten był tymczasowy, gdyż z nastaniem zimy miał zostać rozebrany, aby go wiosenne kry nie połamały i nie zniosły. Ludzie i pojazdy w lecie przebywali rzekę po moście, a w czasie zimy po lodzie. Przez rzekę przerzucony był most żelazny kolejowy, ale przejście przez niego było zabronione.

Przygotowania do rozłożenia takiego obozu trwały kilka tygodni. Prace te wykonywała kompania gospodarcza pułku pod nadzorem specjalisty architekta na podstawie wcześniej opracowanego planu. Aby zbudować taki namiot dla 36 żołnierzy, trzeba było najpierw przekopać na całą długość namiotu rów o metrowej szerokości i 0,5 m

głębokości dla przejścia oraz 4 małe rowki dookoła namiotu dla odwodnienia w razie deszczu. Cieśla miał dużo roboty nad zbudowaniem konstrukcji z pali drewnianych, na której rozpinał dach z brezentowego płótna. Ziemia nakryta była deskami i płótnami, na których mieli spać żołnierze nogami do rowu środkowego, a głowami do ścian namiotu. W jednym namiocie spało 36 żołnierzy, a cała kompania liczyła 270, w pułku było 17 kompanii – 4600 żołnierzy. Cały pułk zajmował 174 namioty. Całe obozowisko wyglądało jak małe miasteczko. Musiała być studnia i latryny polowe zbite w kształcie koziołków. Żołnierz siadał na niskiej łacie, a opierał się plecami o drugą.

Step to wielka, z lekka pofałdowana równina. Jak okiem sięgnąć, nie widać żadnego drzewa, żadnej wsi, a nawet pojedynczej chaty. Na wiosnę pokryty zieloną trawą, sięgającą niekiedy do kolan. Co kilka dni zmieniał kolor. Jednego dnia pomiędzy trawami kwitły żółte kwiaty, po tygodniu pojawiły się na ich miejscu kwiaty niebieskie, za kilka dni cały step okrywał się czerwienią. Ta zmiana kolorów trwała od połowy kwietnia do czerwca. W lipcu trawy zaczynały żółknąć, w drugiej połowie sierpnia znikła zieleń, od wielkiego upału i suszy wszystkie rośliny wysychały; cały step przybierał szaroziemisty kolor. Jesienne wiatry roznosiły pokruszoną trawę na wszystkie strony. Step zamierał i czekał na zimę, aby odnowić się i zacząć nowe życie z nastaniem nowej wiosny. Ziemia urodzajna, wypoczęta. Brak wilgoci, gdyż dłuższych i częstszych deszczów mało, a po obfitych zimowych opadach wilgoć pod wpływem intensywnego ogrzewania słońca i suchego powietrza szybko wysychała. Głębsze warstwy ziemi były suche, co przeszkadzało wzrostowi drzew i krzewów o głębokim zakorzenieniu. Z nastaniem wiosny i kwitnienia kwiatów ludność miasta wyruszała tłumnie w step na cały dzień z rodzinami, zaopatrzwszy się w pożywienie i napoje. Późnym wieczorem po urozmaiconym niedzielnym wypoczynku wracała do miasta, aby w następne święto powtórzyć to samo, zanim step nie wyschnie. Duże drzewa – sykomory, olchy, lipy, brzozy i krzaki leszczyny oraz „czyłigi” (bujne i gęste sosny) rosły nad brzegami Uralu i jego dopływami. Tu na skraju stepu i lasów ciągnęły się osiedla ludzkie.

W pobliżu miasta w cieniu drzew bogatsi mieszczanie pobudowali sobie wille (dace), w których spędzali gorące lato, czas odpoczynku. W takiej miejscowości znajdowała się „Bielkowska” z restauracjami, kawiarniami i przystanią dla łodzi. W czasie zimy odbywały się po lodzie na Uralu wyścigi konne (rysaki) zaprzężone po jednym koniu do pięknych sanek. To miejsce do spotkań towarzyskich, zawierania znajomości młodych ludzi. Właśnie w takim to stepie odbywały się intensywne ćwiczenia z rekrutami od godz. 5 do 12, z dwiema godzinami przerwy, odpoczynkiem, snem, aby od godz. 15 do 20 kontynuować prace w rozległym stepie. Idealne miejsce do marszu, zmiany

kierunków, przekształceń układu w szeregach, do biegów na czystym powietrzu. Było dużo miejsca do ćwiczeń polowych, tyralier i natarć bojowych. W tych ćwiczeniach zalegaliśmy w tyralierze, w trumie i odpoczywaliśmy między przebieganiem w kierunku domniemanego wroga. „Blokada i szturm” było wzorem, jak zdobywać osiedla zajęte przez nieprzyjaciela.

Wymieniony dziedziniec znajdował się w odległości około 4 km od naszego obozu. Tu odbywał się handel wymienny: zboże, warzywa, odzież, obuwie, meble itp. Duży plac (200 × 200 m), kwadratowy, otoczony dokoła ścianami i 2 bramami, do których od strony wewnętrznej były dobudowane izby do rozkładania towarów i duże zagrody na pomieszczenie zwierząt do zamiany. W określonych dniach zjeżdżali kupcy ze swoimi towarami, spędzali zwierzęta i tu w zamian za swój towar otrzymywali inny potrzebny w ich gospodarstwie (towar za towar), a resztę-różnicę dopłacali pieniędzmi. W czasie wojny ten dwór zamieniony został na koszary dla jeńców wojennych. Najwięcej było jeńców z armii austriackiej: szeregowi jeńcy mieszkali w dużych pomieszczeniach, a oficerowie mieli małe izby i mieszkali po kilku lub kilkunastu. W czasie zimy dużo jeńców pomarzło, dużo wymarło od różnych chorób. Nieraz po mroźnej nocy wywozili dziesiątki trupów i chowali we wspólnej mogile na stepie. Oficerów traktowali lepiej. Pozwolono im zakładać ogródki kwiatowe, warzywne, aby czas im się nie dłużył. Oficerowie mogli wychodzić po kilku do miasta pod konwojem żołnierza bez broni (tylko z bagnetem przy pasie). Często mniejszymi partiami odprowadzano ich do okolicznych wsi na roboty. Tym żołnierzom warunki życiowe zmieniły się na lepsze. Wartę pełnili żołnierze rosyjscy z pospolitego ruszenia z karabinami pamiętającymi czasy Aleksandra II (1812 r.). Jakież było zdziwienie jeńców, gdy wpadliśmy z okrzykiem „ura” na dziedziniec z karabinami i bagnetami gotowymi do walki. Może myśleli, że ich wymordujemy?

7 IX 1915 r. przed odprawieniem marszowej kompanii na front odbyło się nabożeństwo na stepie. Żołnierzy ustawiliśmy czwórkami w „caro”, tych co na front mieli jechać w pełnym ekwipunku i tych, którzy dopiero zaczęli się uczyć służby wojskowej. Pośrodku był zbudowany na podwyższeniu ołtarz, przy którym pop w asyście diakona odprawiał „molebień” (nabożeństwo). Obok ustawił się chór żołnierski. Pop zaintonował, a wszyscy podchwycili pieśń: „Zbaw Panie ludzi twoich i pobłogosław dary nasze. Zwycięstwo naszemu cesarzowi imperatorowi Mikołajowi Aleksandrowiczowi racz dać Panie”. Niestety, Pan Bóg nie wysłuchał tej prośby i nie dał „pobiedy” carowi. Po nabożeństwie i obiedzie dowódca kompanii Leonow wręczył nagrody pieniężne kadrowym podoficerom. Feldfelbel i starszy nauczyciel dostali po 7 rubli, plutonowi po 5 rubli, a drużynowi i ja po 3 ruble za dobre przygotowanie żołnierzy udających się na front.

Mordercza praca z rekrutami trwa nadal. Sytuacja na froncie katastrofalna. Wojska rosyjskie ponoszą wielkie straty w ludziach i sprzęcie wojennym, całe pułki idą do niewoli. Dowództwo frontu upomina się o posiłki. Ćwiczenia stają się jeszcze bardziej forsowne. Ćwiczymy rekrutów w dzień ze skróconym odpoczynkiem poobied-

nim i w nocy. Ciągłe wypady, wywiady, ruchy, tyraliery. Nocne starcia ze strzelaniem ślepych nabojami, walka wręcz na bagnety. W czasie natarcia ze strzelaniem z bliskiej odległości żołnierz przeciwnej grupy strzelił prosto w twarz koledze Stańczykowi z Puław, w wyniku czego Stańczyk stracił lewe oko. 2 godz. snu i znów ćwiczenia dzienne. Tutaj dużo pracy wkładaliśmy w budowę okopów pod ogniem nieprzyjaciela. Rekruci nie mogą sobie poradzić z samookopywaniem. Dowódca kompanii wścieka się. Biega od jednego do drugiego strzelca, wymyśla, a często i nogą kopnie.

W końcu sierpnia nad Orenburgiem przeszedł straszny huragan z oślepiającymi błyskawicami i piorunami, ale bez deszczu. Wracaliśmy właśnie z dalekich ćwiczeń, kiedy pierwszy podmuch huraganu uderzył nas w twarz. Burza była tak silna, że kilku żołnierzy z I drużyny zostało zwalonych z nóg. Oficerowie dali rozkaz „padnij”. Błyskawicznie upadliśmy na goły step. Okręciliśmy głowy chusteczkami, a niektórzy własnymi mundurami i tak przeleżeliśmy 1/2 godziny. Gdy ta nawałnica minęła, powstaliśmy na nogi. W szeregach wybuchnął głośny śmiech. Wszyscy byliśmy brudni i czarni, podobni do diabłów. Tylko zęby i oczy błyszczały. Huragan niósł tumany pokruszonej, startej na pył stepowej trawy i to było przyczyną takiego naszego wyglądu. Ten brud przeniknął do całego ciała. Natychmiast skierowano nas do Uralu, gdzie porządnie umyliśmy się od stóp do głów i poszliśmy na kolację. Na początku września wróciliśmy na zimowe leże do koszar. W tym dniu rozkazem [dowódcy] pułku zostałem mianowany „jefrejtozem” (starszym strzelcem).

Modły

8 IX 1915 r. rozpoczęło się 3-dniowe święto muzułmańskie Ajram-Bajran. Na przeciąg 3 dni wszyscy muzułmanie zostali zwolnieni od ćwiczeń wojskowych. Obowiązywał ścisły post. Wolno im było 2 razy dziennie zjeść kromkę suchego chleba i wypić szklankę wody. W pozycji klęczącej siedzieli na piętach na swoich legowiskach, zwrócenie twarzą na wschód, z rękami złożonymi na piersiach i mruczeli swoje modlitwy. Na głośne wezwanie muezina (duchowny mahometański), zwrócone w 4 strony świata z minaretu (wieży), szli grupami do meczetu (świątyni) na modlitwę – uroczyste nabożeństwo. W kruchcie zdejmowali wierzchnie obuwie (bogatsi nosili miękkie, bez obcasów safianowe buty – podobne do pończochy, a na to nakładali twarde obuwie skórzane), wchodzili do środka świątyni, klękali na różnych matach i modlili się w czapkach, siedząc na piętach. Mułła (wyższy duchowny) wszedł na podwyższenie i zaczął do zebranych przemawiać, a potem zaintonował pieśń zaczynającą się od słów: „Allah akbar”, co podchwycili zebrani i zaczęli chóralnie śpiewać, powtarzając często „Allah akbar”. Ta modlitwa trwała około godziny. Przy wyjściu z meczetu (świątyni) powoli poważnie każdy wkładał swoje buty i wracał do koszar. Tu znów zapadali w kontemplację, znów modlili się. Trzeciego dnia po nabożeństwie przed meczetem pozdrawiali się nawzajem. Jeden mężczyzna oburącz z góry na dół pogładził twarz, mówiąc „magalikum salam”, drugi tak samo pogładził twarz, odpowia-

przerzucały się na sąsiednie domy, a czasem i na dalsze. Dymy rozpościerały się nad ziemią, zasłaniały ulice, co znacznie przeszkadzało w dojściu do palącego się obiektu. Krzyki, płacze, wołanie o pomoc kobiet i dzieci towarzyszyły trzaskom przepalanych ścian i hukowi walących się kominów. Ratunek był utrudniony z powodu braku wody na miejscu. Wprawdzie Urał przepływał niedaleko, ale dojście do wody utrudniały strome brzegi rzeki. Straż pożarna, składająca się ze starszych mężczyzn i prymitywnego taboru nie spełniała należycie swoich obowiązków. Na pomoc przybyła kolumna beczkowozów, zaprzężonych w konie, a kierowana przez strażaków i aresztantów. Brak było organizacji. Aresztanci obojętnie, bez najmniejszego zapалу podjeżdżali na tych śmierdzących beczkowozach pod rzekę i napelniali je wodą.

Miejscowa ludność całą energię skierowała na ratunek swojego dobytku. Przybyliśmy i my, żołnierze, ale nasza pomoc ograniczała się do składania w bezpieczne miejsce mienia i pilnowania przed grabieżą. Dzięki żołnierzom udało się uratować od spalenia 3 chore kobiety z palącego się domu. Pożar szalał cały dzień i strawił połowę domów na przedmieściu. Gaszenie reszty pożaru przypadło strażakom, gdyż aresztanci musieli wracać do swojej bazy, aby w nocy wywozić fekalia z domów w śródmieściu tego gubernialnego miasta. Wczesnym rankiem można było zobaczyć karawanę beczkowozów, kierowanych przez aresztantów w asyście 2 strażników uzbrojonych w rewolwery. Taka karawana mogła się składać z od 20 do 30 beczkowozów. Przez kilka dni trudno było przejść ulicą zalaną śmierdzącymi odchodami.

Wybrał i do druku przygotował Tadeusz Surdacki

Zygmunt Krasiński

Opowieści z dawnych lat

Wspomnienie o ojcu

Antoni Krasiński urodził się w roku 1896. Gdy tylko mógł trzymać w rękach karabin, wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej. Brał udział w rozbrajaniu Austriaków. Opowiadał, że jak w Kraśniku peowiacy zatrzymali pociąg i wskoczyli do wagonów to niektórzy podnieśli ręce do góry a jeden Austriak chwycił za karabin. Wtedy jeden z peowiaków strzelił i zabił Austriaka. Był to chłopak z Wierzbicy, zapomniałem jego nazwiska. Gdy Józef Piłsudski objął dowództwo, peowiacy zostali wcieleni do wojska. Wtedy mój ojciec został przeszkolony na szofera ciężarówki. Mówił, że pierwsze samochody dostali z amerykańskiego demobilu. Były one na twardych oponach, bez dętek i bez kabiny. Kierowca siedział jak w powozie na wierzchu. W takim pojeździe bardzo trzęsło. Po pół roku samochody były już na oponach dętkowych.

Któregoś dnia na Litwie, gdy wieźli zaopatrzenie, bokiem szło wojsko. Kiedy ojciec zobaczył jakąś jednostkę zorientował się, że w tej jednostce służy sąsiad Piotr Dzikowski. Pytał się o niego i udało mu się z nim spotkać za rzeką Wilejką. Opowiadał też o sytuacji, że jak byli za Niemnem to pociąg pancerny jeździł to do przodu, to do tyłu, cekaemiści cieli z karabinów maszynowych po Ruskich, a oni krzyczeli: „Wpieroł, wpieroł”. Ledwo się żołnierze i pancernik wycofali, most się zawalił. Po zakończeniu służby wojskowej ojciec wrócił do domu.

W drugą wojnę światową Bolesław Mital, mój ojciec Antoni, Feliks Dziuba i inni gospodarze należeli do ZWZ, później do Armii Krajowej. Zebrania odbywały się przeważnie u Feliksa Dziuby, a przysięgi nawet i u nas w domu. Wtedy odwiedził nas Hipolit Cieszkowski („Odyniec”). Gdy była akcja „Burza” i zdobyto samochód-amfibię to mój ojciec na zmianę z Krzysztoniem objeżdżali przedmieścia Urzędowa z polską flagą dopóki



Szofer Antoni Krasiński (siedzi) z pomocnikiem, 1918 r.



Antoni Krasieński – szofer pierwszej kolumny samochodowej Józefa Piłsudskiego w 1918 r.

starczyło benzyny. Gdy z rąk Ukraińców zginął sołtys Bałaszek, mój ojciec został zaraz wybrany na sołtysa, a ja brałem udział w akcji „Burza”. Broń znałem dobrze i byłem w oddziale u „Odyńca”. Czekał na Niemców na Zakościelnym, Niemcy jednak dostali rozkaz, żeby nie iść przez Urzędów tylko w Ostrowie poszli na Kraśnik. Gdy przyszli Rosjanie, urząd w gminie objęli Gruchalski i jego zastępca Szczębara, komendantem miasta był pułkownik rosyjski. Pułkownik przyjechał do sołtysa za podwodami, wtedy ojciec do mnie mówi: „Nie masz pół litra?”, a ja mówię: „Mam, wypijemy po kielichu z pułkownikiem to inaczej będzie mówił”. Po tygodniu znów przyjechał pułkownik w samo południe, mama gotowała obiad, a ojca nie było w tym czasie w domu. Mama mówi pułkownikowi, że ojciec za niedługo przyjdzie. Gotowała się kura, dała pułkownikowi kartofle z rosołem, później zjadł kluski i daje mu udko z kury, a on mówi: „*Miasa nie chaczu, daj rebiatam*”. Za jakąś chwilę słychać w sieni tupot, otwierają się drzwi, a w drzwiach pokazują się lufy karabinów. Komendant enkawudzista jak zobaczył pułkownika zasalutował mu, a pułkownik się pyta: „*A po szto wy tu?*”. Enkawudzista mówi: „*Jemiejemy na bumagie ich*”. Pułkownik się pyta: „*A kto wam skazał?*”. Enkawudzista mówi: „*Chudaszczawienki burmister*”,

a pułkownik mówi: „*Siejczas wymazać i dalsze tu nie przychodzić*”.

Później opowiadali ci co byli w gminie, że pułkownik wyjął nagan (pistolet): „Ja ciebie mogę zastrzelić *szto on charoszy* człowiek, a ty go skazał na Sybir”. Gdy front wojenny ruszył za Wisłę i pułkownik z wojskiem także, ubowcy nie darowali tego memu ojcu. Zabrali go do Kraśnika i trzymali prawie tydzień. Mama poszła do mieszkającego na Zakościelnym Biernata, który przed wojną był policjantem, a po wojnie ubowcem. Obiecał jej pomoc i rzeczywiście ojciec wkrótce wrócił do domu. Opowiadał o tym, że UB przywiozło chłopaków do Kraśnika poobijanych, sinych, jednemu wybito oko.

Później, jak zginął burmistrz Gruchalski, to Szczębara wyjechał do Nowej Huty. Ja z żoną po 20 latach, będąc w Nowej Hucie u kuzynki żony, dowiedziałem się, że w ich pobliżu mieszka Szczębara. Mąż kuzynki powiadomił go, że przyjechali goście z Urzędowa, niedaleko jego dawnego miejsca zamieszkania. Gdy Szczębara dowiedział się, że przyjechali Krasieńscy nie zdecydował się z nami spotkać, tłumacząc się, że ma robotę. Mąż kuzynki Kazik Homa chciał znać przyczynę odmowy spotkania. Powiedziałem mu, że on chciał nas na Sybir wysłać. „Teraz rozumiem” powiedział Kazik.

Moje młode lata

Podczas okupacji niemieckiej wywoziłem drewno z lasu. Pierwszy raz sołtys wyznaczył mojego ojca, a ojciec posługiwał się mną, więc pojechałem z sąsiadem, takim dziadkiem co zdalny był tylko drzewo pod grubkę nosić. Pojechaliśmy do dzieżkowskiego lasu wywozić dęby aż pod samą Wisłę. Wzięliśmy cienki dąb, choć inni furmani musieli brać grube. Jeden z leśników kazał wracać po drugie drzewo, ale inny leśnik powiedział: „Jeden stary, drugi młody, niech jadą nad brzeg do Wisły”. Ja miałem wtedy 15 lat, a było to w 1941 roku.

Drugim razem, z młodszym furmanem na sprzączkę, pojechaliśmy do Gościeradowa, wywozić kłody sosnowe. Załadowaliśmy sosny na wozy i udaliśmy się w kierunku stacji w Irenie. Trzecim razem, z 18-letnim furmanem wiosną w 1942 roku, wyjechaliśmy do Janowa Lubelskiego. Kiedy jechaliśmy na kwaterę do Białej w marcu, to jeszcze zwały śniegu leżały po obu stronach drogi. Wtedy wywoziliśmy kłody drewna z lasu koło wsi Szklarnia do stacji Janów. Kwaterowaliśmy przez 3 dni w Białej, było tak zimno, że nie można było się przespać. Nogi trzymałem w worku z obrokiem, było głodno, bo sami gospodarze nie mieli co jeść. Czwarty raz był wyjazd znów na koszarówkę w 1942 roku, też do Janowa Lubelskiego. Sołtys wyznaczył nas znów ze starszym gospodarzem. Jedną noc spędziliśmy w Białej, rano była zbiórka wszystkich furmanek i kierunek Szklarnia, tam gdzie Porytowe Wzgórze. Braliśmy sosny, takie na słupy elektryczne i telefoniczne, po kilka na wozy. Wzięliśmy do nasycalni w Nisku. Tam daliśmy koniom jeść i ładowaliśmy nasycone słupy na wozy. Nasycone olejem słupy były dużo lżejsze niż te nasycone solanką, które były ciężkie jak ołów. Z tymi słupami jechaliśmy całą noc do Modliborzyc. Rano w Modliborzycach chłopcy rozleciały

się po Żydach, żeby dali śniadanie. Mnie wołał Mikołaj Krzeczowski, ale ja się wstydziłem, żeby tak wołać, choć byłem głodny. Potem zwieźliśmy i wyładowaliśmy słupy na placu w Janowie i jechaliśmy do domu. Ujechaliśmy ze dwa kilometry od Janowa, zmęczona kobyła stanęła, nie chcąc iść ani kroku dalej. Przyniosłem jej wiadro wody od gospodarza, zjadła trochę obroku i skórę chleba, którą jeszcze miałem i pomału dojechaliśmy do domu. Tyle miałem „wyjazd” w czasie okupacji.

Mój znajomy Bolesław Tomczyk z Gór, na kilka lat przed II wojną światową, po wojsku wyjechał do Warszawy, by tam uczyć się na szofera. Poznał dziewczynę i ożenił się. Ponieważ podczas okupacji w stolicy było krucho z żywnością, zaczął przyjeżdżać do Urzędowa po zaopatrzenie. Handlował żywnością. Wtedy to, jako kilkunastoletni chłopak, odwoziłem go furmanką do dworca kolejowego w Kraśniku lub na stację Wilkołaz Wieś. Do pomocy dobrał sobie chłopaka z Gór, Mieczysława Cichonia. Ponieważ Niemcy urządzali łapanki w Dęblinie, postanowili przewozić ładunki statkiem po Wiśle. Zawarli umowę z kapitanem, który miał specjalne skrytki na towar.

Wraz z nimi dowoziłem towar do przystani w Kaliszanach, bo tam nie było żandarmerii niemieckiej. Wtedy już nie wieźli towaru w małych walizkach, ale całymi konnymi wozami do statku w Kaliszanach. Od tego momentu z Bolesławem Tomczykiem współpracowali inni urzędownie: Józef Chrzanowski, Józef Fila, Józef Piotrowski i kobieta z Rynku – Władysława Borkowska.

Tomczyk mówił, że najtrudniej przewieźć towar do Warszawy, bo już w mieście koledzy rozwiozą dorożkami.

Pewnego razu, kiedy jechaliśmy nocą po wyboistej drodze, słychać było szczekanie psów, odgłosy końskich kopyt i dźwięk orczyków. Byliśmy już w Bobach, gdy umówiony człowiek oznajmił nam, że za kościołem stoi żandarmeria niemiecka. Konwojenci zaczęli uciekać w las, a mnie skóra ścierpła, gdyż z Niemcami nie było przelewów. Za to, co robiliśmy, czekał nas obóz. Okazało się jednak, że byli to nasi partyzanci i pojechaliśmy dalej.

Innym razem, gdy dwoma załadowanymi towarami wozami dojechaliśmy do wsi Sławy, dwóch konwojentów, którzy szli przodem o jakieś sto metrów przed furmankami, zauważyło Niemców jadących na konnych wozach i kręcących się po polach. Świtało. Wtedy cofnęliśmy się do wsi, żeby gdzieś się ukryć. Niemcy rozstawiali na polach tarcze i szykowali się do strzelania do tarcz z armat z Wisły. Ukryliśmy się w stodole na całą dobę, leżąc na słomie, bo Niemcy od rana zaczęli ćwiczyć strzelanie. Fila żartował, licząc wybuchy pocisków wstrząsających stodołą. Po południu jeden z pocisków, zamiast w tarczę, trafił w stojącą niedaleko stodołę. Stodoła się zapaliła, a Józef przerwał żarty, jakby go tatarska strzała trafiła.

Dopiero wieczorem Niemcy przerwali ćwiczenia i odjechali, my również ruszyliśmy w drogę. Nad ranem dojechaliśmy do przystani w Kaliszanach. Ze względu na ćwiczenia Niemców, rejs statkiem również był opóźniony.

Pamiętam jak współpracownicy Tomczyka wrócili z Warszawy i opowiadali, że bufetowy z kantyny ze statku przeskarżył ich i kapitana statku do żandarmerii. Wtedy



Zygmunt Krasiński, 1944 r.

Niemcy zabrali dużo towaru, a kapitan statku ze strachu skoczył ze statku do Wisły i utonął.

Ostatni raz transportowałem ludzi i żywność krótko przed powstaniem warszawskim. Odwoziłem Bolesława i Mieczysława do statku w Kaliszanach, skąd popłynęli do Warszawy. Bolesław przywoził wówczas gazetki i ulotki konspiracyjne. Później już ich obu nie widziałem – zginęli w powstaniu warszawskim. Byli moimi dobrymi znajomymi. Bolesław Tomczyk pozostawił żonę i dwóch małych synów, Mieczysław Cichoń – żonę.

W roku 1944, gdy wkroczyły wojska radzieckie do Urzędowa przyszło do nas trzech żołdaków na obórę i mówią: „Dawać łosza i powozkę, i jedziom dziesięć km i nazat w damoj”. Mój ojciec mówi: „Jedź z nimi”. Pojechaliśmy przez Urzędów, Bęczyn, za las dzierzkowski na Chruślan-ki. Tam była zbiórka furmanek z lasu dzierzkowskiego. Widać było lufy armat, strzelali w kierunku Wisły. Nad naszymi głowami przelatywały pociski. Jeden ruski starszyzna biegał koło furmanek, ustawiał je. Wtedy ja mu mówię: „Słysz, zaprowadź mnie w damoj. Dam ci litr wódki”, a on mówi: „Siejczas”. Oblediał furmanki i umówił drugiego, po czym przyszedł i pyta: „Skolka kilometrów”. Odpowiedziałem, że pięć. Przyprowadził mnie do domu i dał mi wódkę.

Po zakończeniu okupacji niemieckiej byłem w WiN-ie. Raz przygrywałem chłopakom na kusaka w domu Ireny Olchówny, później Bartnik. Było wtedy ciepło, zdjąłem

marynarkę, powiesiłem na krześle za plecami. Bawiła się tam sama oficerka, przynieśli mi angielskie granaty zwane gamonami, włożyli do kieszeni w marynarce, mówiąc: „U ciebie będą pewne”.

Następnie wartowałem u Dziurdów, jak Gabriel Gajewski poszedł spać ze swoją drużyną. Gdy „Zapora” rozwiązał swój oddział, przyprowadził do nas dwóch chłopaków – byli to: Józek Szczerbiński i Felek Malinowski (wileńszczaki). Nie mogli u nas być dłużej, bo milicja często do nas zaglądała. Od nas poszli na Dąbrowę za las i prawdopodobnie przeskarżył ich sołtys. Zostali złapani, pobici i dostali wyrok po 6 lat, w tym część kary odbywali w kopalni. Po 3 latach Józek Szczerbiński do nas przyjechał, zjadł obiad i odjechał w nieznanym kierunku. Mówił, że robił w kopalni po dwie zmiany i został zwolniony wcześniej. W tym czasie zginął sołtys w Dąbrowie Bór, od kuli, która wpadła przez okno.

Przebywał u nas i nie tylko u nas, taki żołnierz z demobilizacji w Kraśniku Fabrycznym – Piotrek Bagrowski. Po jakimś czasie pojechał na Zachód do Spokojnej Góry, za Wrocławiem i zajął mieszkanie z Niemcem, złotnikiem i ze swoją dziewczyną Gienią z Łodzi. Za jakiś czas przyjechał do nas i mówi do mnie i do Stanisława Wnuka: „Jedźcie ze mną, od nas można przywieźć maszynę do szycia za trochę kielbasy czy boczku”. Zgodziliśmy się, wzięliśmy po 2 kg kielbasy i boczku, pojechaliśmy do Lublina. Kupiliśmy bilety z Lublina do Wrocławia. Kiedy dojechaliśmy do Lublińca, UB zatrzymało pociąg. Odbyła się „rewizja”. Zabrali nam wszystką wędlinę, nie zostawiając nawet na kanapkę. W tej sytuacji Piotrek zaprosił nas do swojego domu, dał jeść i powiedział: „Trzeba coś zrobić, jest tu Niemiec niedaleko, idzieta, weźta mu jakieś ubiory”. Dał mi pistolet i podprowadził do jego zabudowań. No i „Hande hoch” i wzięli dwie jesionki, jedna męska, druga damska. Męska była na mnie w sam raz, ale długo się nią nie cieszyłem. Wykupiliśmy z Wnukiem bilety we Wrocławiu do Lublina, dla dwóch osób na jednym blankiecie. W Lublińcu znów UB zatrzymało pociąg i nastąpiła rewizja. Wzięli mnie pod pachy i wsadzili do takiej kajuty, gdzie przesiedziałem do następnego rana. Z nerwów zjadłem kanapkę, przeznaczoną na drogę. Rano było przesłuchanie, pytano, po co przyjechałem. Tłumaczyłem się, że u nas w Lubelskiem nie ma roboty, to może tu bym pracował. Przesłuchujący pytał co mam w pakunku. Odpowiedziałem, że nic ważnego. Nie kazali nawet rozwiązywać i wypuścili mnie przed południem. Idąc, myślałem sobie: „Głodno, chłodno, do Boga wysoko, do domu daleko, bez pieniędzy i biletu, bo bilet pojechał z kolegą”. Wyjąłem jesionkę, idę na targ z tą jesionką, żeby sprzedać za parę złotych na jakiś bilet, bo inaczej nie można było wejść na peron, gdyż bramki były zamknięte, jak nie było pociągu. Gdy pociąg nadjechał kolejkarze pilnowali, żeby nikt nie wszedł bez biletu. Chciałem na targu sprzedać tę jesionkę, ale nikt nie chciał kupić. Zauważyłem jednak, że jeden handlarz uśmiechał się. Podeszedłem do niego i mówię: „Panie, dać mi parę złotych, abym miał na bilet do najbliższej stacji”, no i kupił. Wykupilem najtańszy bilet i gdy nadjechał pociąg do Lublina, wsiadłem szybko na dach, zaraz za brekiem, żeby było ciepłej i pewniej.

Było nas więcej na dachach, bo ludzie siadali nawet na buforach (zderzakach). Tak było ciasno aż do Łodzi. Kolejkarze krzyczeli: „Złazić z dachu”. Od Łodzi Kaliskiej do Lublina było cicho, tylko w Skarżysku Kamiennej lokomotywa nie mogła wyciągnąć wagonów pod górę. Maszynista trzy razy cofał, zanim ruszył do przodu. Bałem się, żeby nie odpięto wagonów, a ja byłem z tyłu. W Lublinie znów kolejkarze sprawdzali bilety, poszedłem więc do ustępu, przeczekałem, aż ludzie przejdą. Kiedy kolejkarze odeszli, przeszedłem na poczekalnię. Chciałem się umyć zimną wodą, ale tylko się rozmazałem, bo byłem jak kominarz. Z Lublina dojechałem do Leśniczówki i doszedłem do kolegi Marszałka. U niego się umyłem, a Marszałkowa dała mi jeść, bo byłem głodny jak pies. Posiedziałem kilka godzin i ruszyłem na piechotę 14 km do domu, zadowolony, że wróciłem, bo mogło być gorzej.

Po latach Piotrek Bagrowski w Spokojnej Górze (Niemca już nie było) malował mieszkanie. Za obrazem zauważył skrytkę, a w niej kosztowne pierścionki i złoto. W podzięce za to, że u nas w Urzędowie przebywał, przywiózł do kościoła dość duży złoty krzyżyk i powiesił na obrazie po prawej stronie, gdzie jest grób Pana Jezusa na Wielki Post. Było to za ks. Baranowskiego. Po jakimś czasie, będąc w kościele zauważyłem, że krzyżyka nie ma. Ks. Baca głosił, że ktoś ukradł ten krzyżyk.

Moje zawody

Za młodu uczyłem się na kowala, ale żar z ognia gryzł mnie w gardło, później co niedzielę byłem fryzjerem, a na tygodniu naprawiałem beczki na kapustę. Wstawiałem nowe dna. Kiedy u sąsiada pracowali cieśle, wzięłem siekierę i zarobiłem węgiel, a majster mówi: „Ty tak umiesz, bierz siekierę i chodź z nami”. Robiłem przy trzech budynkach, następnie pojawiła się blacha i we dwóch kryliśmy domy, może z 15, później sam kryłem eternitem około 20 domów, nawet dwie duże stodoły i oborę eternitem ciętym z dużych 3-metrowych płyt na 9 metrów długości. Kurzyło się jak za samochodem na polnej drodze. Teraz mówią, że szkodzi, ale jeszcze żyję. Może z piętnaście lat grałem na weselach na akordeonie, potem z zespołem. Jak się ożeniłem, w swoim domu sam zrobiłem instalację elektryczną i hydraulikę, c.o. oraz wodę. Postawiłem studnię z czterech kręgów, które sam wykonałem. Byłem murarzem, postawiłem owczarnię, zrobiłem pustaki i wymurowałem w suterenie kuchnię z piecem chlebowym.

Najdłużej byłem stolarzem budowlanym, około 50 lat. W latach sześćdziesiątych, kiedy były jeszcze koniki i duże śniegi, robiłem sianie z wasagami, pojedyncze i podwójne, tak zwane suki. Przed żniwami robiłem drabiny do zwózki zboża do stodoł, jesienią skrzynie do zwózki kartofli i buraków, i tak czas zleciał, i parę złotych było. W okupację odrabiałem w junakach u Niemca. W gospodarstwie pod fabryką przez 3 miesiące byłem woźnicą (kuczerem), powoziłem kareta. Gdy Niemcy spod Stalingradu zaczęli się cofać, więcej nie poszedłem do pracy.

No i byłem gospodarzem, hodowałem około 30 owiec i czarną krowę co białe mleko dawała. Gorzałkę też potrafiłem robić. Dzięki niej nie wywieziono nas z ojcem na

Sybir. I kielbaskę też robiłem, nie tylko dla siebie, ale i na handel i cielęcinkę też sprzedawałem. Sąsiadce zrobiłem pierścioneł nikłowy z serduszkami, który nosiła ponad 30 lat, aż do śmierci. Teraz przebywając na emeryturze, jestem poetą ludowym i już tylko odpoczywam. Najwyżej palę w piecu. Zbliży się dziewięćdziesiątka moja i żony Sylwiny. Mamy dwoje dzieci, cztery wnuczki, jednego wnuka i trzy prawnuczki.

Po wojnie

Mówi się w radiu i w telewizji, że ktoś kogoś uratował i ja w życiu też miałem przygody z tym związane. Raz idąc na Góry, przez rzeczkę, zobaczyłem chłopca, kuzyna, stojącego nad wodą. Pytam go, czego stoisz nad rzeką, idź do domu. Wtedy zorientowałem się, że było ich dwóch, drugiego woda poniosła już nawet 30 m z głębokiej na płytszą, jak wiązkę słomy. Szybko wskoczyłem do wody, wziąłem chłopca na ręce, położyłem na trawie na brzuchu, a woda z niego wylatywała jak z fontanny. Gdy przestał już zwracać, podprowadziłem chłopców pod dom. To było jeszcze za kawalerki.

Następnie, jak się ożeniłem, a żona była w ciąży, rozwiązanie przypadło na 1 maja. Przyszła położna, zobaczyła i mówi: „Nie dam rady”. Pojechałem rowerem 2 km na pocztę, dzwonię po pogotowie, odpowiadają, że nikt nie przyjedzie, bo wszyscy lekarze są na pochodzie. W szpitalu jest tylko jedna pielęgniarka. Jadę zaraz po drugą położną, 3 km wozem konnym, była w domu. Przywiozłem ją. Dała żonie zastrzyk, po jakimś czasie drugi, a ja siadłem z boku. „No już będzie rodzić, niech pan wyjdzie”, a ja mówię: „Nie wyjdę”. Wtedy ona mówi: „Nie dam rady, główka się urwie”, a ja mówię: „Ja pomogę”. Skoczyłem do łóżka, objąłem żonę rękami za brzuch jak dziecko i razem poród się odbył, a położna mówi: „No uratował pan im życie, wiedział pan, co trzeba robić.” Pomyślałem wtedy: „Pochód był ważniejszy niż życie”.

W roku 1955 powołano mnie na ćwiczenia wojskowe na 3 miesiące, czyli „w kamasze”, a w domu została żona z jednorocznym synem. Ja w wojsku nie biedowałem, ale żonie z dzieckiem nie było za dobrze, nawet za przymusową dostawę mleka chcieli ją ukarać, a krowy nie miała. Po badaniu stanu zdrowia w Kraśniku, zawieźli naszą około 30-osobową grupę do pociągu i pociągiem do Lipy na poligon. Namioty już były, ale sienniki musieliśmy słomą sami wypchać. Zaraz zaprowadzili nas na świetlicę. To było koło o średnicy około 8 m, wysypane piaskiem w środku, a dookoła ławeczki, kapral zaczął nam roznosić drelichy wojskowe do przebrania się. Sam sobie dobrał

dopasowany drelich, a był mojego wzrostu. Mnie przypadł taki duży drelich, że by nas dwóch w niego weszło. Kapral odszedł ze cztery kroki, a ja zaraz skoczyłem przez środek tej świetlicy, zamieniłem ten drelich i się szybko ubrałem. Kapral przychodzi, zaczyna wkładać na siebie i pyta chłopaków: „Kto mi zamienił?”, a chłopaki: „Nie widzieliśmy”. Popatrzył na mnie, ale zamienił się z takim grubym chłopakiem z Lublina. Ja pomyślałem, że jak się uczepli mnie to mu powiem: „Chcesz kalekę ze mnie zrobić? Ty sobie u szefa zamienisz”. No i zaczęły się ćwiczenia karabinami ćwiczebnymi i cekaemem Gurianowa z orkiestrą. Wyprowadzono nas do bram namiotów w kierunku Gielni, oddalonej może 8 km, na poligon ćwiczebny. Tam ćwiczenia trwały parę godzin i z powrotem na obiad. Chłopaki, którzy byli z Łodzi, nie umieli onuc okręcić na nogach, chodzili kulawi, bo im kamasze nogi poobcierały. Za kilka dni kapral wziął karabin, wyjął z niego zamek i mówi: „Pokażę wam, jak się zamek rozbiera i składa”, a ja mówię: „Poproszę ten zamek”. Dał mi, wziąłem go w ręce do tyłu, rozebrałem, drugi raz do tyłu i złożyłem z tyłu i już byłem za pan brat z kapralem i plutonowym



przez całą służbę. Byłem raz na warcie przy zbrojowni, a drugi raz na służbie przy namiotach. Raz poszedłem na ochotnika, bo mnie wstyd było, że inni chodzą co drugą noc, wartować do północy, na zmianę, z ruskim długim bagnietem i kocem na plecach.

Była też przysięga. Wyprowadzono nas na plac. Po przemarszu, przysięgaliśmy służyć Polsce Ludowej i strzec tajemnicy wojskowej. Po przysiędze było wolne, przyjechali do mnie żona i szwagier, który był wojskowym. Posiedzieliśmy na kocu w lesie, trochę wypiliśmy, trochę zjedli i czas zleciał. Żegnaj żono i szwagrze, i do namiotów.

Za parę dni, kiedy staliśmy na apelu przed namiotami, przyszedł porucznik Sierpiński z pytaniem, kto jest stolarem. Mówię, że ja – szeregowy Krasiński. Jednocześnie

powiedziałem: „Obywatelu poruczniku, trzeba dwóch”. Zgłosił się drugi, spod Opola Lubelskiego, Tusiński. Porucznik zaprowadził nas do namiotu oficerskiego, powiedział, że trzeba zrobić stół. Robota była prosta, trzeba było cztery kołki wbić w ziemię na wysokość 80 cm i zrobić blat z nieheblowanych desek. Wojsko poszło na ćwiczenia, a my siedzieliśmy w cieniu. Za kilkanaście dni przychodzi porucznik i znowu pyta: „Kto jest kowalem?”. „Ja – szeregowy Krasiński”. Poznawszy mnie, powiedział: „Dopiero byliście stolarzem, już kowalem?”. A ja mu na to: „Pierw byłem kowalem, ale mnie czad z ogniska gryzł w gardło i zmieniłem zawód”. „To chodźcie ze mną” – powiedział. Trzeba było zrobić zawiaski do drzwiczek, ale nie przywieźli płaskownika i przesiedziałem w lesie, żeby mnie pułkownik nie zobaczył, a obiad mi przynieśli kulawe chłopaki ze stołówki.

Kiedy przyszedł 22 lipca, wyprowadzono nas na duży plac między lasami, tam była mównica i duży głośnik. Staliśmy czwórkami z bronią, słońko grzało i słuchaliśmy przemowy Władysława Gomułki ponad dwie godziny. Nie wolno było usiąść. Na koniec wystrzelili z armat salwę i mieliśmy trochę wolnego.

W sierpniu nas wywieźli na żniwa do pegeeru Setniki w grupie około 30 żołnierzy. Mnie porucznik dał tylko jeden karabin bojowy, miałem jeden ślepy nabój, a ostre naboje miał porucznik w swojej sumce (teczce). W Setnikach byłem około tygodnia. Panowała tam bieda, bo robotnicy jak dostali paszę dla świń to sprzedawali na lewo, a świny jadły tylko zielonkę z lucerny. Mięso z tak hodowanych świń było twardsze od gumy, nie dało się zjeść. Zrobiliśmy strajk, przyjechał pułkownik i powiedział: „Kto umie z żołnierzy gotować to niech gotuje”, ale to nic nie pomogło. Po tygodniu przyszedł porucznik i zapytał, kto chce jechać do drugiego pegeeru. Ja pierwszy się zgłosiłem. Kolega z Urzędowa Tadeusz G. nie zdecydował się, bo się bał. Około piętnastu żołnierzy wyjechało do pegeeru Wasilów. Tam było dobrze, jeść się nie chciało, dawali nam podwieczorki z białą kawą. Po przybyciu do Wasilowa pytano nas kto umie klepać kosy. Zgłosiłem się i siedziałem stukając ostrza kos, a wojsko poszło na pole sprzątać zboże. Potem pytali kto umie

układać sterty. Jak zwykle zgłosiłem się i wraz z kolegą spod Opola układaliśmy. Zapłacili nam, nawet dobrze. PGR Wasilów był przy samej granicy z ZSRR. Po drugiej stronie rzeki, za granicą strzeżoną przez wysoki płot z kolczastym drutem i pasem ornej, ciągle bronowanej ziemi, leżało miasteczko Bełz.

Gdyśmy wrócili do Lipy, na poligon, znów były ćwiczenia. To Gielnia, to Antoniów, blisko Sanu, na poligon artyleryjski. Było tam strzelanie z moździerzy, pociski przelatywały nad naszymi głowami, a my siedzieliśmy w transzejach, czyli w okopach. Oficer nie brał mnie do kiepskich robót. Pod koniec służby wybrał pięciu żołnierzy, dał nam karabin maszynowy Gurianowa, dwie taśmy ze ślepymi nabojami, karabinki i wywieźli nas wraz z oficerem w pobliże 8. Pułku Piechoty. Ja służyłem w 7. Kołobrzeskim Pułku Piechoty. Przenocowaliśmy w lesie w małym namiocie, na wrzosie. Raniutko ciężarówka podwiozła nas blisko 8. pułku, była to pozoracja czyli partyzantka. Otworzyliśmy do nich ogień z karabinu maszynowego, a oni obrzucili nas petardami. Karabin się nam przewrócił na tych wertepach i z prędkości złapałem za lufę parząc sobie rękę, choć wiedziałem, że się lufa rozgrzewa przy strzelaniu. Po paru dniach oficer zabrał mnie i kolegę spod Opola, na strzelanie. Zaczęliśmy przestrzeliwać cztery nowe radzieckie karabiny. Porucznik dał mi karabin, udzielił instrukcji i obserwował moje poczynania. W końcu dał mi 3 naboje, wystrzeliłem trzy dziewiątki. Porucznik skwitował to, mówiąc do drugiego: „Widać kłusownik”. Inni rzadko trafiali w tarczę podczas strzelania, a ja zostałem celowniczym. Porucznik powiedział: „Was nie trzeba uczyć strzelać, trzeba dać tym, co nie umieją”.

Dnia 30 września 1955 r. pożegnaliśmy poligon w Lipie i wróciliśmy pociągiem do Kraśnika. Podczas drogi kapral z Wandalina zapytał mnie jaką pamiątkę wiozę z wojska. Ja wiozłem furażerkę, spinacze do spodni, a on petardę. Gdy wróciłem do domu, syn nie chciał się ze mną rozstać nawet na chwilę, trzymał się nogi.

Taka to była moja służba w kamaszach, nie zmyślane, nie. Proste są moje słowa, nie magistra lecz prostego śmiertelnika i weterana.

Sprostowanie

W „Głosie Ziemi Urzędowskiej” z 2016 r. w artykule *Moje wspomnienia z lat 1943 do 1952*, na stronie 66 pod zdjęciem widnieje błędnie zamieszczone nazwisko autora artykułu Stanisława Gajewskiego. Tymczasem na fotografii znajduje się Leszek Siennicki, jego kolega i współtowarzysz z więzienia na ulicy Krótkiej w Lublinie, a następnie na Zamku Lubelskim. Na odwrocie zdjęcia zamieszczona została dedykacja „Koledze zza krat”.

Tadeusz Surdacki, syn Marka

Konstanty Surdacki z Wodnej w przekazie rodzinnym. Wspomnienie w 60. rocznicę śmierci

Konstanty Surdacki, ur. w 1893 r., został powołany do carskiego wojska po ukończeniu 21. roku życia. Z uwagi na niezwykle umiejętności w obchodzeniu się z końmi, awansował na dowódcę reprezentacyjnego konnego oddziału przy pałacu cara w Carskim Siole.

Według rodzinnego przekazu, Konstanty odmówił wykonania rozkazu dotyczącego honorowej konnej asysty. Był oburzony, że jeden z polskich hrabiów przyjechał do cara z wiernopoddańczą wizytą. Konstanty zaszalutował hrabiemu i pozostawił go na dworcu kolejowym, odjeżdżając z żołnierzami do jednostki. Za to został oddany pod sąd wojskowy. Wyrok to degradacja do stopnia szeregowca i zesłanie na Sybir. W ciągu dwóch lat Konstanty przemierzył Syberię, docierając do Władywostoku. Tam zgodnie z wyrokiem był już wolny. W porcie wsiadł na statek i popłynął do Australii. Powrócił do Europy, do Francji i z Błękitną Armią generała Józefa Hallera przybył do Polski w 1919 r.

Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, głównie jako dowódca zwiadowczego oddziału konnego. W czasie działań wojennych został ranny w nogę. Za udział w wojnie generał Haller podarował mu piękną reprezentacyjną szablę z dedykacją. Otrzymał również kilkanaście hektarów ziemi w Terpentynie, gdzie gospodarzył do połowy lat trzydziestych. W styczniu 1921 r. ożenił się z Weroniką z domu Czerebak. W Terpentynie urodziła się piątka jego dzieci, syn i cztery córki. Ziemię tę jednak sprzedał i kupił około 10 ha działkę w kolonii Wyżnianka, w pobliżu budującej się w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego fabryki i osiedla Dąbrowa Bór. Na zupełnie pustym polu postawił dom i zabudowania gospodarcze. Wszystkie budynki obsadził drzewkami ptasiej czereśni i wiele lat później często mówiło się w rodzinie „jedziemy do Kostka na czereśnię”. Do dyspozycji zawsze były krótkie i długie drabiny; rwało się całe wiaderka owoców. Konstanty także utrzymywał ściśle więzy z rodziną w Urzędowie.

W okresie międzywojennym, w letnie niedziele, Konstanty jeździł konno do koszar 24. Pułku Ułanów w Kraśniku, gdzie udzielał praktycznej nauki jazdy żołnierzom. Z pułku otrzymał na tzw. dożywocie starą klacz, nazywaną Wiśnia, która gdy zagrała orkiestra, stawała na tylnych nogach i szła w takt muzyki. W czasie wesela jednej z córek Konstantego, Wiśnia, słysząc muzykę, weszła przez sień pomiędzy ławki do gości weselnych. Oczywiście wszystko to odbywało się w wesołej, weselnej atmosferze.

W okresie okupacji niemieckiej dom Konstantego, stojący na uboczu, w szczerym polu i blisko lasu, był dogodnym miejscem do przebywania w nim partyzantów.



Konstanty Surdacki

Fakt ten nie uszedł uwadze Niemców, którzy często przyjeżdżali do domu Konstantego. W historii rodziny dwie sytuacje zapisały się szczególnie dramatycznymi zdarzeniami. W czasie jednej z nich, Konstanty był ubrany w mundur wojskowy, przy którym były guziki z orzełkiem. Z tego powodu Niemcy ustawili w rzędzie całą rodzinę, z płaczącą piątką dzieci przed domem do egzekucji, której jednak nie wykonali. W drugim zdarzeniu ostatni z żołnierzy niemieckich przeszukujących zabudowania wszedł ponownie do sieni, gdzie natknął się na wychodzącego z ukrycia za podwójną ścianą partyzanta z pistoletem w ręku. Partyzant opuścił pistolet, a Niemiec wyszedł z sieni bez jakiegokolwiek dalszej reakcji.

Po wojnie Konstanty bardzo często i z dobrym skutkiem pomagał, jeśli była potrzeba, przy pierwszym zaprzęgnięciu i jeździe, obok kobyły matki, młodego żrebaka.

Często pierwsze jazdy odbywały się w głębokiej tzw. plebańskiej drodze wiodącej z ulicy Wodnej w pole.

Byłem świadkiem, jak Konstanty pomógł podkuć konia kowalowi Mazurkowi. Młody żrebak, ciągnący wóz obok swojej matki, mocno kulał na przednie nogi. Należało go podkuć, ale nawet słynący z doskonałych umiejętności w tej dziedzinie kowal, p. Łakomy, nie dał rady. Ustalono, że Konstanty pomoże podkuć tego konia na podwórku p. Mazurka, który miał kuźnię obok młyna p. Pomykalskiego. Konstanty, idąc do kuźni, wstąpił do nas i ja z ojcem poszedłem na podkuwanie. Na podwórku p. Mazurka stał wóz drabiniasty, był to okres żytnich żniw. Żrebak stał z prawej strony dyszla. Pan Mazurek próbował podnieść jego przednią nogę, ale bezskutecznie. Po nieudanej próbie, do akcji wkroczył Konstanty. Najpierw pogłaskał konia po łbie, szczególnie wokół oczu, następnie po szyi, grzbiecie, brzuchu. Cały czas coś pod nosem mruczał, a następnie bez jakiegokolwiek oporu konia podniósł jego nogę do góry i powiedział do kowala: „Podkuwaj”. Pan Mazurek miał już gotowe podkowy tzw. letnie i szybko po wyrównaniu nożem kopyt obie podkowy zostały przymocowane hufnalami. Konstanty cały czas trzymał nogę konia. Po podkuciu przednich nóg odpiął postronek i po odsunięciu w bok konia, podniósł jego tylną

nogę. Koń stał spokojnie. Całość operacji podkucia konia została zakończona przy piwie w restauracji po drugiej stronie ulicy.

Po wojnie Konstanty jeden raz publicznie użył szabli od gen. Hallera, przepędzając nią brygadę agitującą za natychmiastową dostawą zboża, które jeszcze nie było zebrane. Konstanty wymachując szablą przepędził urzędników z podwórka i dalej jeszcze w dół w kierunku Wyżnicy. Po kilku godzinach przyjechało UB, żądając oddania broni w postaci szabli. Konstanty szabli nie oddał, mimo to po kilkunastu godzinach został zwolniony z aresztu.

Zmarł 31 października 1957 r. i został pochowany na cmentarzu w Urzędowie, na swojej ojcowiznie, bowiem na ziemi wcześniej należącej do Konstantego Surdackiego znajduje się część cmentarza.

Po latach trumna ze szczątkami Konstantego została przeniesiona na cmentarz w Kraśniku Fabrycznym, na którym w 1991 r. została pochowana żona Weronika. Tu także spoczął na swojej ziemi ponieważ w latach osiemdziesiątych córki odsprzedały część swoich działek pod nowo powstały cmentarz.

Serdecznie dziękuję za informacje jedynej żyjącej córce Konstantego Zofii Czubińskiej i wnuczce p. Barbarze Niewiadomskiej.

Kazimierz Cieśliski

Walki bratobójcze w czasie okupacji w południowo-zachodniej Lubelszczyźnie w latach 1943–1944 między AL a AK

21 grudnia 1943 r. oddziały AL „Cienia”, „Przepiórki” i „Bogdana” dokonały marszu propagandowego na terenie powiatów Kraśnik, Krasnostaw, Zamość i z powrotem do powiatu Puławy. W drugim dniu marszu w majątku Biała Woda za Bobami stoczono 6-godzinną walkę z silnym zgrupowaniem oddziałów partyzanckich AK, rozbrajając żołnierzy. Oficjalnie podano, że czynu tego dokonano pomyłkowo. Przyznać należy, że zgrupowania AL pod dowództwem „Cienia” i „Przepiórki” jako pierwsze rozpoczęły walki bratobójcze.

Pogłębiało się rozbieżności w ruchu partyzanckim pomiędzy AK a AL. Dochodziło do krwawych walk pomiędzy tymi ugrupowaniami. Bratobójcze walki wzmożyły się wiosną i latem 1944 r., a więc na kilka miesięcy przed wkroczeniem Armii Czerwonej na Lubelszczyznę. Nic tak nie dzieli jak krew. Między oddziałami AK a AL została wykopana przepaść nie do wyrównania. Oddziały AL reagowały na napotkane oddziały AK bezwzględnie, bardzo często bez głębszego rozpoznania jaki to oddział.

W tych warunkach oddziały AL „Cienia” i „Przepiórki” stoczyły walki z oddziałami AK:

w Studziankach dn. 15.04.1944 r.

w Marynopolu dn. 22.04.1944 r.

w Owczarni dn. 4.05.1944 r.

w Stefanówce dn. 2.07.1944 r.

Po obu stronach były ofiary, których liczbę można szacować powyżej 100 żołnierzy (bez rannych). Należy podkreślić, że walki bratobójcze pomiędzy oddziałami AK a AL były wymierzone jako samosądy „złych ludzi” a nie wynik tła politycznego.

22 kwietnia 1944 r. w Marynopolu pow. Kraśnik 3 oddziały F. Gronczewskiego ps. „Przepiórka”, B. Kowalskiego ps. „Cień” i Pietrzyka ps. „Zbyszek” stoczyły walkę z trzema oddziałami Leona Cybalskiego „Znicza” i Piotrowskiego ps. „Cichy” oraz „Orla”. Łącznie ok. 170 żołnierzy AK z tym, że nie wszyscy byli uzbrojeni. Oddziały AL posiadały mniejszy stan liczebny, ale były lepiej uzbrojone. Główne uderzenie skierowano na oddział

„Przepiórki”. Oddziały AK zostały zmuszone do opuszczenia wsi. Poległo 9 żołnierzy z AL, w tym z oddziału „Przepiórki” 7 żołnierzy i jedna sanitariuszka z oddziału „Cienia” o pseudonimie „Ania – Mieta” oraz 2 rannych. Z AK strat nie ustalono.

Mord popełniony przez AL na żołnierzach AK w Owczarni 4.05.1944 r.

Na dzień 1 maja 1944 r. oddział AK OL1/15pp, później przeniesiony do OP3/15pp, por. Zdzisława Targosińskiego „Hektora” liczył 67 ludzi. Z oddziału urlopowano 27 żołnierzy, a sam „Hektor” udał się na odpoczynek. Na zachód od Opola Lubelskiego we wsi Owczarnia oddział w składzie 40 żołnierzy i oficerów prowadził na łące szkolenie w zakresie specjalnym, którym dowodził ppor. Mieczysław Zieliński ps. „Moczar” (nie mylić z Moczarem z AL).

Dowódca został ostrzeżony, że mieszkańcy wsi sympatyzują z AL a mężczyźni opuścili domostwa. Wydał rozkaz, by wszyscy żołnierze mieli się na baczności i nie zdejmowali ani mundurów, ani obuwia. Żołnierze ubezpieczający zaalarmowali dowódcę oddziału, że wieś została otoczona przez nieznany oddział, a po zbliżeniu się rozpoznano, że to oddział AL pod dowództwem B. Kowalskiego „Cienia”. Mimo sygnałów o zatrzymanie się oddział AL zbliżał się i po parokrotnym ostrzeżeniu wywiązała się walka. Zauważono, że trzech żołnierzy z AL zostało rannych a zastępca „Cienia” poległ.

Z inicjatywy „Cienia” nastąpiło przerwanie ognia (wymachiwanie białą rękawiczką i okrzykami: „Dość walki bratobójczej”). Dowódca AK wydał rozkaz przerwania ognia. Oddział „Cienia” liczący ok. 100 żołnierzy zbliżył się do oddziału AK, jednak z bronią gotową do strzału. „Cień” zaproponował przegląd oddziałów i ustalenie strat. Była godz. 16.00, oddziały ustawiły się w szyku zwartym naprzeciwko siebie w oddaleniu 4 metrów. Wtedy „Cień” podstępnie strzelił do „Moczara”, zabijając go, jak i żołnierza AK o pseudonimie „Mars”, dając sygnał bandytom z AL do otworzenia zmasowanego ognia z broni ręcznej i maszynowej do żołnierzy AK.

W ten sposób zostało zamordowanych 20 akowców a 13 zostało rannych, których aelowcy dobijali kolbami. Obecne z nimi Rosjanki powstrzymywały bandytów od znęcania się nad rannymi. Zaskoczeni żołnierze AK nie mogli bronić się skutecznie. Ze strony AL padło 7 zabitych.

Pomordowanych żołnierzy AK pochowano tymczasowo we wsi Owczarnia, a po trzech dniach zwłoki 3 żołnierzy przewieziono do Kurowa i tam pogrzebano. Byli to:

Roman Spiechowicz „Sprytny”

Marian Mazurkiewicz „Swida”

Józef Zuchniarz „Sęp”

Pozostałych 17 żołnierzy zostało pogrzebanych na cmentarzu w Opolu Lub. Oto ich nazwiska:

por. Kamiński „Żuraw”

ppor. NN „Mars”

szer. Czesław Skorupski „Sper”

szer. Marian Mazurkiewicz „Snida” [tak w oryginale]

szer. Marian Tomaszewski

szer. NN „Wyrwa”

szer. Siapek-Migdał

szer. NN „Przepiórka”

szer. NN „Granat”

szer. NN „Listek”

szer. NN „Tarzan” z Łukowa

szer. NN „Orlik”

szer. NN „Dżon”

szer. NN „War”

szer. Mieczysław Mazurkiewicz „Niepor”

szer. Mieczysław Zieliński „Moczar”

szer. NN.

Trzech rannych umieszczono w pobliskich miejscowościach, a 8 w tym i ja zostaliśmy odwiezieni do Urzędowa, gdzie zostaliśmy otoczeni należytą opieką lekarską.

Komunistyczny działacz Władysław Krupa po latach, w 1958 r., tak kłamliwie przedstawił sprawę pogrzebu żołnierzy AK: Dowódcy oddziałów leśnych AK, które brały udział w tej walce, zwrócili się do szefa gestapo w Kurowie – Urlicha o zezwolenie na przywiezienie zabitych akowców i pochowanie na miejscowym cmentarzu. Twierdzili oni, że oddziały AK zostały napadnięte i wymordowane przez komunistów. Szef gestapo dał zezwolenie oraz samochody na przewiezienie ciał. W pogrzebie wzięli udział wszyscy oficerowie AK z bronią, a za nimi szli Niemcy. Tak się fałszywie przedstawia fakty.

Zbrodnia dokonana przez AL została przyjęta z oburzeniem przez okoliczne społeczeństwo.

Dn. 2 lipca 1944 r. we wsi Stefanówka gm. Rybitwy koło Opola Lubelskiego doszło do krwawej walki pomiędzy oddziałem AL „Cienia” a oddziałami AK pod dowództwem Kwiecińskiego ps. „Kiel” i Franczaka ps. „Argiel”. W walce zginęło 47 żołnierzy z AK, między innymi ppor. Kotlarski (osierocił dwoje dzieci). Zostali oni pochowani na cmentarzu w Kraczkonicach koło Poniatowej. W walce zostało również rannych 40 akowców. Z oddziału „Cienia” zginęło 6 ludzi a 8 było rannych.

Wszystkie oddziały AK z pow. puławskiego i kraśnickiego zostały zaalarmowane i otrzymały zadanie odnalezienia oddziału „Cienia” i jego likwidację. Jak relacjonował naoczny świadek z oddziału „Małego”, który brał udział w pościgu – „Cień” ukrył się w przebraniu rosyjskiego oficera w oddziale sowieckim, stacjonującym pod namiotami w lesie i uniknął zasłużonej kary. Oddział „Cienia” wycofał się do Grabówki a następnie do Suchoj Woli, gdzie spotkał się z oddziałem „Przepiórki”.

Pościg za „Cieniem” należy uznać za nieudany, ponieważ odpowiedzialny za zbrodnie popełnione na AK nie został ukarany.

W książce GL i AL na Lubelszczyźnie ówczesny sekretarz Komitetu PPR w Kraśniku Grot, oceniając haniebne czyny żołnierzy AL, napisał: „Osądzimy ich po wojnie”. Niech po latach czyny „Cienia” i „Przepiórki” osądzą ja, pisząc moje wspomnienia o zbrodniarzach.

Bolesław Kowalski ps. „Cień”, ur. 4.07.1924 r. w Zakrzówku pow. Kraśnik. W okresie okupacji uczęszczał do szkoły spółdzielczej, w której uczył przedwojenny KPP-owiec Szymański ps. „Ali”. W roku 1942 wstąpił do PPR, a następnie do oddziału „Przepiórki”. W lutym

1944 r. stworzył własny oddział. W latach pięćdziesiątych za nadgorliwość w służbie Polsce Ludowej został aresztowany i po wyroku osadzony w więzieniu. Udowodniono mu, że w celach rabunkowych wydał rozkaz rozstrzelania w miejscowości Lipa ukrywających się Żydów, aby zdobyć złoto. W roku 1957 po wyjściu z więzienia wrócił do pracy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i został awansowany do stopnia pułkownika. Zmarł w 1966 r. na raka. O zgrozo – został pochowany na cmentarzu wojskowym w Warszawie w Alei Zasłużonych w sąsiedztwie grobu człowieka tej miary, co gen. Żeligowski.

Edward Gronczewski ps. „Przepiórka”, ur. 10.08.1923 r. w Sierpcu. Ukończył tam szkołę. W roku 1940 zbiegł z obozu w Prusach Wschodnich do Grabówki pow. Kraśnik, gdzie w 1942 r. zapisał się do PPR, a następnie wstąpił do oddziału GL dowodzonego przez Grzegorza Korczyńskiego. Od marca 1943 r. dowodził własnym oddziałem, który działał w pow. Kraśnik i Puławy. Awansowany na podporucznika. Jest odpowiedzialny za spalenie

wsi Dzierzkowice-Podwody i wymordowanie kilkunastu mieszkańców przez Niemców w lipcu 1944 r. Podjął walkę z nacierającym oddziałem niemieckim bez rozeznania o jego sile. Oddział zmuszony został do wycofania się, a Niemcy w odwecie spalili całą wieś. Za bandyckie napady na oddziały AK został odznaczony Krzyżem Grunwaldzkim i pochwałą 3 stopnia przez dowódcę AL gen. Żymierskiego. Po wyzwoleniu został skierowany do pracy w MO w stopniu kapitana, a w 1944 r. majora. W maju 1950 r. za wysługiwanie się [tak w oryginale] Władzy Ludowej został aresztowany i przebywał w więzieniu do czerwca 1955 r. W marcu 1957 r. wrócił do pracy w MSW w randze podpułkownika. Był delegowany do Wietnamu. Zmarł w 1976 r.

Obaj oprawcy charakteryzowali się wyjątkowym okrucieństwem i bandytyzmem. To pod ich dowództwem żołdacy z AL wymordowali ponad 100 żołnierzy AK. Wyszkolili w MSW następców, którzy zamordowali księdza Popiełuszkę.

Kazimierz Marecki

Zapiski z okresu Solidarności



Kazimierz Marecki

Zapiski powstały podczas długotrwałej choroby Kazimierza Mareckiego w latach 1997–1999 w szpitalu w Kraśniku. Dotyczą wydarzeń związanych ze strajkami, jakie miały miejsce w Fabryce Łożysk Tocznych w roku 1980 i 1981. Opisał je uczestnik i organizator strajków oraz związków zawodowych Solidarność na Wydziale Narzędziowni. W tych wspomnieniach z kronikarską dokładnością opisuje nie tylko to,

co się działo w zakładzie, ale ukazuje wydarzenia, które miały miejsce w kraju. Dużo miejsca poświęca przebiegowi pacyfikacji fabryki po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Następstwem aktywnego udziału w strajku było jego zwolnienie z pracy, co bardzo odbiło się na sytuacji materialnej całej rodziny.

Nie wycofał się jednak z dalszej działalności – już konspiracyjnej. W jego domu przez parę lat drukowane były „Biuletyny Informacyjne”, które trafiały do fabryki. Całe oprządkowanie „drukarni” pieczętowało przechował syn Piotr. W tym roku przekazał te cenne eksponaty wraz ze znacznym zbiorem podziemnej prasy i druków ulotnych z okresu stanu wojennego do Archiwum Państwowego w Kraśniku.

W omawianych wspomnieniach zawarte są też informacje dotyczące organizacji pracy „drukarni”, a także kolportażu.

Oprócz zapisków jest także w tym zbiorze kilkadziesiąt wierszy, w których wypowiadał się do ostatnich tygodni życia. Zmarł 23 sierpnia 1999 r. w wieku 63 lat. Wypada dodać, że w zakładzie zatrudniony był jako tokarz. Pracę rozpoczął po ukończeniu szkoły zawodowej. W domu był wychowywany w duchu patriotycznym. Ojciec Ludwik Marecki po niewoli sowieckiej wstąpił do Armii Andersa. Walczył pod Monte Cassino.

Pisząc swoje wspomnienia, zapewne nie myślał, że będzie to upublicznione. Pragnął dla rodziny pozostawić pamiątkę uczestnictwa w ważnych historycznych wydarzeniach, które kończyły okres zniewolenia Polski.

W imieniu Redakcji „Głosu Ziemi Urzędowskiej” wyrażam wdzięczność żonie Krystynie i synowi Piotrowi za możliwość podzielenia się z Czytelnikami dostępnym rękopisem.

Tadeusz Surdacki

Rok 1980 lipiec

W Moskwie olimpiada, w fabryce w ludziach wielkie niezadowolenie, są pogłoski o strajku na Lubelszczyźnie. Tak jest w całym kraju, lecz są to tylko przecieki.

Z dnia na dzień artykuły pierwszej potrzeby drożeją, do tego nie można ich kupić. W sklepach brak wszystkiego. Ludzie pod sklepami stoją po kilka dni, żeby odejść z niczym lub dostać parę dkg wędliny. Jednym słowem, brak jest wszelkich produktów. Partyjni mają swoje sklepy, więc jest im łatwiej. Coraz częściej mówi się, że to wszystko się zawali.

Wreszcie dochodzą słuchy, że Świdnik stanął. W naszej fabryce nie ma na razie nadziei na jakiegokolwiek protesty. Na drugiej zmianie można trochę porozmawiać z zaufanymi kolegami, bo ORMO i partyjni nas obserwują. Chyba przeczuwają coś niedobrego. Okna i drzwi już dużo wcześniej pozamykali na specjalnie dorobione zamki. U nas w narzędziowni upozorowali sabotaż polegający na tym, że w niedzielę ktoś wyrwał podnośnikiem z fundamentu maszynę, jednak jej nie uszkodził. W sabotaż nikt nie uwierzył, bo tanim kosztem ponownie ją ustawiono na swoim miejscu. Do zabetonowania potrzebne było tylko pół worka cementu. Ponadto nie robiono żadnego dochodzenia w celu znalezienia winnych.

Mam drugą zmianę. Rozmyślamy we trzech: Pietraszek, Dębicki L. i ja, na kim można polegać w razie czegoś. Nie widzimy poza nami nikogo, bo albo niepewni, albo tchórze. W domu jestem zajęty pracą. Doszła do mnie wiadomość, że FLT stanęła. Były to wiadomości szczątkowe, więc niczego pewnego nie wiadomo. Przeczynałem, że tak się stanie, ponieważ docierały do mnie wieści, że stają już kolejne zakłady. Świdnik ponaglał. Wypuszczono nawet pewną anegdotę: „Przez kraśnickie świnie, to Świdnik ginie”. Poszedłem na drugą zmianę, teraz dowiedziałem się, co zaszło. Wybrano komitet oraz przygotowano postulaty i skierowano się do kierownika. W tym czasie trudno było jeszcze nazwać tę grupę pracowników komitetem. Była to po prostu delegacja. Kierownik uspokoił, że sam nie może podjąć decyzji o podwyżkach, ale przedstawi dyrektorowi. W narzędziowni jednogłośnie decyzja o postoju. Co na innych wydziałach, trudno było się dowiedzieć. Nie znaliśmy szczegółów. Każdy dzień przynosi coś nowego.

Po niedzieli mam pierwszą zmianę. Przyszedł dyrektor i tłumaczył, że narzędziownia ma średnio w zakładzie najwyższe wynagrodzenie. W odpowiedzi usłyszał od ludzi: „Średnio, to jeśli dyrektor bije swoją żonę, a on nie, to średnio bijemy obaj”. Ponadto dyrektor powiedział, że pieniądze są na podwyżki, ale nie można ich dać, bo do państwa musi odprowadzić pięciokrotnie więcej. W związku z tym zakładu na to nie stać.

W ciągu kilku dni cała Lubelszczyzna stanęła, ale została odcięta od reszty kraju. Nawet pociągi przestały kursować. Dochodziły tylko do granic województwa. Ludziom wytłumaczyli, że na Lubelszczyźnie powódź. Widocznie nikt w to nie wierzył, bo strajki szybko objęły cały kraj. I fala strajków przeszła przez całą Polskę, aż do Wybrzeża. Później ta fala wróciła z powrotem, bo strajki ponownie objęły cały kraj. Oczy całej Polski zwrócone były na Gdańsk, który dotąd nie strajkował. Dopiero gdy strajki ponownie objęły cały kraj, stanęła Stocznia Gdańska. Tu odbyły się rozmowy z rządem, które zostały uwieńczone sukcesem robotników, bo jak na tamte czasy, to można tak nazwać. Podpisano porozumienie o wolnych związkach zawodowych, na razie dla miasta Gdańska. Każdy wierzył wówczas w Wałęsę.

W naszej fabryce nie pozostaliśmy bezczynni, zaczęliśmy się organizować. Początkowo polegało to na tym, że w kiosku fabrycznym na hali wystawialiśmy komisję, aby dopilnować sprawiedliwego podziału tego, co przywiezła, a robotnicy będą mieli na kanapki. Jak wspominałem,

ludzie pracowali nieraz głodni. Żywność, którą przywożono, była często przeterminowana i zepsuta. Przytoczę jeden fakt. Udało mi się kupić parę dkg kielbasy, która śmierdziała i nie nadawała się do spożycia, więc mi takie jedzenie nie szło i wyrzuciłem. Jednak siedzący obok mnie kolega jadł. Więc zapytałem, czy nie czuje przykrego zapachu i smaku. Odpowiedział, że czuł ale co miał zrobić, jak był głodny.

Papierosów też nie można było kupić. Kręciliśmy tytoni, nawet wymyślono maszynkę do skręcania, a także do krojenia tytoniu. Gdy już się pojawiły konserwy, radość była krótka. Po otwarciu okazywały się zepsute. Prawdopodobnie celowo wstrzymano sprzedaż wszystkiego – tak ludzie mówili. Zapalek podobno starczyłoby na jeden dzień, gdyby stanęła produkcja.

W takich warunkach musieliśmy się organizować. Ktoś przyniósł wiadomość, że u nas też muszą powstać wolne związki. Byliśmy we trzech, tj. L. Dębicki, R. Pietraszek i ja. Nikt wówczas nie wyrwał się na czoło. SB i ORMO były zbyt silne. W zarodku tłumiły wszystkie przejawy organizowania się. Zapytałem, kto się podejmie takiego przywództwa? Nie dowiedziałem się. Powiedziano mi jedynie, że jest jakiś inżynier. Na pytanie, co mamy robić, aby nas nie zwinęli w odpowiedzi usłyszałem, że z ludźmi trzeba delikatnie rozmawiać, aby ich przygotować na ewentualność powstawania związków.

Ludzie różnie to przyjmowali. Jedni bali się nawet ze mną spotkać. Rozmowy z innymi można zaliczyć do pozytywnych. Był też taki, który powiedział: „Prędzej mu włosy na dłoni wyrosną, niż będą u nas wolne związki”. Upłynął jeszcze jakiś czas, zanim zasiane ziarno zaczęło owocować. Wreszcie trzeba było wysłać do dyrektora delegację w sprawie tych związków. I tu pojawił się nowy problem. Nie było chętnego do udania się do dyrekcji. Chodziło również o takiego delegata, który miałby poparcie u ludzi i, oczywiście, żeby się dobrze prezentował. W końcu udało się od nas namówić H. Siemiona.

Tajemniczym inżynierem okazał się Łazarz pracujący na hali nr 5, czyli w Doświadczalnym. Dyrektor ponoć zapytał, czy za jego plecami nie stoi Kuroń. Przy tych rozmowach nie byłem, więc nie wiem, jaki miały przebieg. Dyrektor wyraził zgodę pod warunkiem, że będą to jedyne związki i w ciągu trzech dni zapisze się do nich ponad połowa załogi. Warunek był jak wiadomo, dość skomplikowany. Co nam pozostało, trzeba było zagrać w tę niewiadomą. Nie znaliśmy nastrojów wszystkich robotników. Wówczas głośno nikt nie zdradzał, co naprawdę myśli.

Teraz trzeba było zorganizować ludzi do zapisania się do związku. Należało znaleźć człowieka, którego ludzie posłuchaliby. Co mówić ludziom, było już napisane, wystarczyło przeczytać. Znaleźliśmy M. Jagiełłę z hartowni. Zebranie miało odbyć się w czasie przerwy śniadaniowej na hali. Otrzymałem propozycję, żebym to ja przeprowadził akcję. Na pewno tak byłoby, gdyby nie kandydatura Jagiełły. Chętnych w tym czasie nie było. My byliśmy ludźmi o zbliżonych poglądach. Mieliśmy zrobić obstawę, aby on był w otoczeniu swoich. Na zebranie przyszli niemal wszyscy, łącznie ze szpiegami i kierownikiem. Zebranie odbyło się bez pytań i zakłóceń. Ludzie

właściwie zrozumieli nasz apel. Od razu przystąpiliśmy do zapisywania. Utworzyły się kolejki, każdy chciał być pierwszy. Tego dnia zapisało się 80% załogi. Na uboczu stanęli tylko ludzie komuny.

Do głowy nam nie przyszło, aby zrobić odrębną listę, tylko do naszej wiadomości, ilu mamy przeciwników, bo już na drugi dzień wpisali się wszyscy. Prawdopodobnie w międzyczasie mieli zebranie i dostali takie polecenie. Z tego zadania narzędziownia wywiązała się dobrze. Dodam, że Jagiełło po tej akcji się wyłączył. My, tzn. pracownicy byliśmy zaskoczeni, że poszło tak dobrze, ale dla nas był to dopiero początek działania. Przed nami coraz to nowe zadania, o które trzeba było walczyć. Nie czekając na zarejestrowanie, przystąpiliśmy do brania w swoje

nie w opaski biało-czerwone, w początkach mieliśmy niebieskie, co było mało widoczne na przybrudzonych już kombinezonach. Odbłyły się wybory. Zostałem wybrany przewodniczącym gniazda tokarek. Wybrano też komisję wydziałową, do której z powodu ogromu pracy w gospodarstwie nie chciałem stawać. Znaleźliśmy młodszych, może nawet energiczniejszych. Przewodniczącym został J. Stańczuk, do kierownictwa weszli też: H... oraz Siemion H. i inni. Natomiast każda placówka miała przewodniczącego i zastępcę, czyli składała się z dwóch osób. Moim zastępcą był Józio Posyniak. Nam przypadło sprawować pieczę nad 60 osobami. Zgodnie z żądaniami ludzi rozdzieliliśmy się tak, że jeden z nas był na pierwszej zmianie, a drugi na drugiej. Wszystkie

problemy przekazywaliśmy sobie na przełomie zmian, a z drugiej zmiany na pierwszą zostawialiśmy pisemnie na umówionym miejscu. Przewodniczącym na tym samym szczeblu u ślusarzy był Dębicki. Majstrów i technologów miał majster X. Temu to należy się odrębny rozdział, ale to w późniejszym terminie.

Brałem udział w podziale premii kwartalnych i miesięcznych, gdy pracownikom była potrącona za brak wyrobienia, stawałem w ich obronie. Bo gdy majster chciał, to dawał takiemu pracownikowi najgorszą robotę, aby nie miał szans się wyrobić, natomiast swoim ludziom lepszą, bo za progresję dobrze płacili i można było więcej zarobić. Co do tej pierwszej, to sporządziliśmy listę kolejności, tak aby stopniowo każdy mógł dostać. Dodam, że siebie umieściłem na takiej

liście jako ostatniego. W rezultacie nigdy tej pracy nie dostałem, bo nastąpił stan wojenny. Do tej pory kierownicy przydzielali sobie, ile chcieli, a teraz byli przez nas kontrolowani.

Na niektórych wydziałach, jak np. na hali nr 3 nie założono związku, który w tym czasie przyjął ogólnopolską nazwę NSZZ Solidarność. Toteż Narzędziowni przypadło założyć im (hali nr 3) ten związek. Chłopakom faktycznie udało się go założyć w 1981 r.

W każdą przerwę obiadową na hali nr 4 było zebranie, które prowadził Kuśmierzczuk. Po nim musieliśmy przekazać najnowsze wiadomości w wydziałach. Dodam, że Kuśmierzczuk był przewodniczącym związku w zakładzie. Było to po walnych wyborach. Dotąd aktywny był Pastuszko [...]. Pastuszkę, gdy pojawił się u nas na wydziale, wnieśli na rękach. Po latach można dostrzec, co się zrobiło z tamtą Solidarnością. Dziś nie ma to nic wspólnego z tamtymi dniami.

Na szczeblu krajowym trwały rozmowy trójstronne, w których uczestniczyli Jaruzelski, Wałęsa i Prymas Polski kard. Glemp. Nawoływano do trzymiesięcznego spokoju, czyli 90 dni z powodu śmierci Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Strajki ciągle trwały. Jaruzelski chciał zyskać na czasie, aby mógł się skoncentrować. Według



Kazimierz z ojcem Ludwikiem



Gorce, pow. Wałbrzych, 20 IV 1956 r.

ręce tego, co się da. Utworzyliśmy swoją gablotkę dla podziemnych gazet i ogłoszeń, aby ludzie byli na bieżąco informowani, co się dzieje. Powstał pięcioosobowy komitet założycielski. Później, gdy była taka potrzeba, został on zwiększony o drugą piątkę, do której wszedłem i ja. W sytuacji strajku miał on stać się komitetem strajkowym. Gdyby doszło do aresztowań pierwszej piątki, zadania komitetu strajkowego przejmowała następna. Była też i trzecia piątka, ale ta nie miała być uwidoczniiona.

Jednym słowem, byliśmy przygotowani na dobre i złe. To drugie wisiało nad nami cały czas w powietrzu. Wiadomo było, że władza nie była z nas zadowolona. Każde ustępstwa trzeba było wymuszać strajkiem. Strajki dotyczyły problemów w naszej fabryce, ale wspieraliśmy również żądania w innych zakładach, a także strajki krajowe. Ciągłe utrzymywaliśmy gotowość strajkową.

W tym czasie ministrem obrony był Jaruzelski. Jeździł po wytyczne do Moskwy i prawdopodobnie prosił Moskwę o interwencję zbrojną w Polsce. Ta z kolei ociagała się z powodu kryzysu gospodarczego, jaki panował i tam, a także w krajach demokracji ludowej, czyli całego Układu Warszawskiego.

Wobec tej trudnej sytuacji w zakładzie spadło na nas dużo obowiązków. Do mnie należało zaopatrywa-

mnie, był to jednak błąd, nie trzeba było mu dać nawet chwili spokoju. Sytuacja z dnia na dzień była coraz bardziej napięta, niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu. Od czasu do czasu dochodziły słuchy, że Jaruzelski szykuje coś niedobrego. W zakładach pojawili się tzw. komisarze wojskowi.

U nas był w stopniu majora. Miał siedzibę na dwunastce, czyli w biurze. Nikt nie wie, co on tam robił, przychodził każdego dnia i przebywał pełne 8 godzin. Jak każdy pracownik, przychodził codziennie do pracy. Wieści dochodziły, że już w listopadzie mogą się z nami rozprawić. Nie wiedzieliśmy, jaką przybierze to formę. Aby wśród załogi nie było paniki, łagodiliśmy jak tylko mogliśmy.

Piszę tu, co się działo u nas, krajowe wypadki są dość znane, trudno jest po latach wszystko zapamiętać. Ja jeszcze w listopadzie miałem ostrzeżenie przez kolegę Surdackiego T., że jeszcze tej nocy mogę być aresztowany, ale ta noc przeszła spokojnie.

Stan wojenny

W nocy z 12 na 13 grudnia został ogłoszony w całym kraju stan wojenny. Pierwszy komunikat został podany przez Jaruzelskiego w telewizji i radiu w nocy o godz. 24, później przez parę dni powtarzany był co godzinę. Głosił, że ukonstytuowała się WRON [Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego] złożona z ludzi tego pokroju i że całą odpowiedzialność za wszystkie konsekwencje ponosi on. Na ulice wyprowadzono wojsko w pełnym wyposażeniu, więc i czołgi. Tej nocy aresztowano większość przywódców związkowych. Aresztowania zaczęto jeszcze przed ogłoszeniem, czyli już wieczorem, aby zaskoczyć ludzi. Tego roku, na domiar złego, zima zaczęła się dość wcześnie. Sypał śnieg i były mrozy. Było to z soboty na niedzielę. Rano po przyjeździe z kościoła poszedłem do lasu po choinkę razem z chłopakami. W lesie była cisza, nie było żadnych ruchów wojsk. Dzień dobiegał końca, nie można było się od ludzi nic dowiedzieć, bo albo byli nastraszeni albo nie wiedzieli, co się w Kraśniku dzieje. Autobusy nie kursowały, łączność telefoniczna przerywana. Tak upłynęła niedziela w wielkiej niewiadomej.

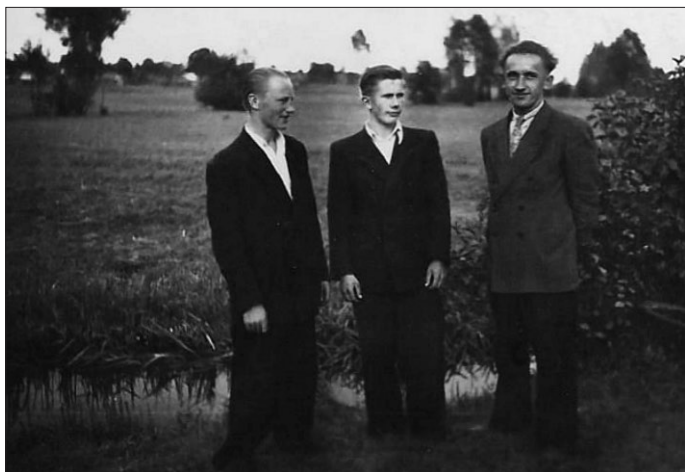
W poniedziałek rano, stojąc na przystanku do pracy, bo miałem na pierwszą zmianę, słyszałem od ludzi niezbyt pozytywne opinie o związku. Ci wczoraj związkowcy, dziś byli już przeciwnikami, aby przypodobać się nowemu ładowi. Aż wstyd mi było słuchać tych bredni. Więc stanąłem z boku, nie włączając się do rozmowy. Bo na mnie, czułem, spoglądano ironicznie. Ciągle miałem nadzieję, że to wszystko jest przejściowe, że nie wszyscy tak prędko się poddadzą. Z chwilą ogłoszenia stanu wojennego wszystkie organizacje zostały zdelegalizowane. Miałem nadzieję, że to wszystko chwilowo. O tak masowym aresztowaniu jeszcze nie wiedziałem, choć były wiadomości nadawane przez Radio Wolna Europa, ale tam też nic pewnego nie było, bo Polska została odcięta od świata. Dodam, że ten, który najwięcej psioczył – P. – po latach, gdy były już wolne wybory, siedział przy urnie i gdy mnie zobaczył, to z satysfakcją powiedział: „No, nareszcie doczekaliśmy wolnej Polski”. Tak dojecha-

łem do fabryki z myślą, kto jest kto. Wszedłem na halę, cisza, nikt do nikogo nic nie mówi. Spostrzegłem, że tu na wydziale jest jakiś dziwny nastrój, widać zawziętość u ludzi. Potem po schodach na górę do szatni i tu dopiero w widocznym miejscu naprzeciw drzwi tak, aby każdy mógł zobaczyć, dużymi literami był napis dość krótki: „Przywódcy nasi (tu były wymienione trzy nazwiska, m.in. Łazarz, Kuśmierczyk), są aresztowani, godz. 7.00 strajk”. Nikt nie wypowiadał żadnego słowa. Przebrałem się, zszedłem do maszyny, było jeszcze przed 7.00, wziąłem stół i usiadłem. Teraz spostrzegłem, że oczy najbliższych sąsiadów są zwrócone na mnie. Większość działaczy, którzy mogliby coś zarządzić, nie przyszła na tę zmianę. Był tylko zastępca przewodniczącego Siemion. Stańczuka nie było. 5 minut po siódmej przyszedł do niego kierownik, żądając kluczyków do gablotki. Pozrywano wszystkie nasze ogłoszenia, asystę miał z dobrze nam znanych ormowców. Najgorsze były dla mnie te chwile, w jaki sposób podjąć decyzję i być niezauważonym, aby uniknąć aresztowania. Dla zabicia tych myśli, wziąłem do ręki gazetę, niby ją przeglądałem, a kątem oka obserwuję, co się dzieje. Siedzę dalej. Sekretarz partii włączył maszynę, ale roboty nie rozpoczął, chyba bał się i jednej, i drugiej strony. Po pewnym czasie przyszedł do mnie majster, odczytał mi zarządzenie stanu wojennego, że gdy nie podejmę pracy, to mi grozi trzy lata więzienia. Pracy, oczywiście nie podjąłem, ale spostrzegłem, jak trudno jest podjąć decyzję, będąc na najniższym szczeblu, bezpośrednio wśród ludzi. Wiadomo, góra zawsze dawała nam polecenia, my z kolei bezpośrednio ludziom. Tak dotrwaliśmy do przerwy obiadowej.

W przerwie dowiedzieliśmy się, że już nie jesteśmy osamotnieni. O godz. 10.00 stanął „Mechanik”, a po nim w niedługim czasie Doświadczałny. W przerwie, podniesiony na duchu, oczywiście, w gronie zaufanych zapytałem, czy są gotowi założyć opaski. Głosy były podzielone, jeszcze nikt nie chciał się narażać. Ale na wszelki wypadek wydałem. Miałem u siebie w szafce. Potem okazało się, że przez zaufanego kolegę P. R. na przesłuchaniu zostałem wydany, jednak do tego zarzutu się nie przyznałem, a świadków nie mieli. Po przerwie ponownie odczytano mi zarządzenie stanu wojennego, że grozi mi trzy lata więzienia. Około godz. 14.00 założyłem opaskę, a w mój ślad większość załogi. Teraz liczyłem na drugą zmianę, że ktoś mnie wyręczy z kierowania tą niewiadomą, bo na tej zmianie był wiceprzewodniczący Siemion, ale dotąd nie kontaktowaliśmy się ze sobą, był na innym gnieździe. Przyszedł do mnie sekretarz partii na wydziale i pytał, jak długo będziemy stać, odpowiedziałem, że nie wiem, bo tak naprawdę bez żadnych poleceń z góry to nie wiedziałem. Przyszła druga zmiana. Dla mnie to była ulga, jest Stańczuk J., Chruściel J. i inni z zarządu wydziałowego. Potem, jak się okazało, to oni wywiesili na drzwiach szatni ogłoszenie o podjęciu strajku. Z miejsca zaczęto wprowadzać zarządzenia o dalszych losach strajku, a więc kto chciał wyjść, musiał wziąć od nas przepustkę. W przeciwnym razie nie będzie wpuszczony na zakład dnia następnego. Przytoczę przykład, że kierownictwo nie podporządkowało się i następnego dnia nie weszli na wydział. Cała prawie załoga pierwszej zmia-

ny pozostała i łącznie z drugą było nas dość dużo. Teraz zajęliśmy biuro majstrów, aby stamtąd kierować. Doszły nas wieści, że na zakład weszli Pastuszko i Szlafka, udało im się uniknąć aresztowania, podobno uciekli zomowcom. Teraz oni kierują dalszym strajkiem. Ja bezpośrednio z nimi nie miałem łączności. Miał ją Stańczuk.

Dobiegał końca pierwszy dzień strajku, wieczorem zostały podzielone funkcje. Ja byłem odpowiedzialny za wystawianie wart, dookoła zakładu i wewnątrz. W ludziach nie było żadnego oporu. Nawet chętnie szli na warty. W dalszych godzinach postanowiono opanować radiowęzeł zakładowy, aby gdy będzie szła pierwsza zmiana we wtorek do pracy, można było już nadać pierwszy komunikat. Do tego zadania zgłaszali się młodzi i energiczniejsi od nas. Opanowanie radiowęzła, można powiedzieć, było nie w stu procentach udane ponieważ nie chciano wywierać drzwi. To było na „dwunastce”, więc przed drzwiami czekano, aż przyjdzie rano pracownik. Mieli dokonać tego młodzi i mało doświadczeni chłopcy. Przyszedł pracownik i zręcznie zatrzaskał za sobą drzwi, zostawiając ich na korytarzu. Po czym zdemolował rozgłoszenie tak, że pierwszy komunikat był nadany dopiero około godz. 10.00. Jednym słowem nie osiągnięto zamierzonego celu. Radiowęzeł trzeba było naprawiać.



Z kolegami, z prawej Jan Wyrostek, w środku Zygfryd Gajewski s. Franciszka, od lewej Kazimierz

Dotąd większa część fabryki jeszcze pracowała, jednak słyszało się, że kolejno, choć opieszale, staje wydział po wydziale. Byliśmy w większości głodni. Kanapki, które mieliśmy, dzieliliśmy dosłownie po kawaleczku. Co do mnie, to byłem na to odporny, gorzej było z młodymi. Zrodziła się myśl, aby stołówka zakładowa pracowała dla strajkujących, by każdy o ile to możliwe, dostał przynajmniej gorącej zupy. Dodam, choć wstyd mówić, ale jeden pracownik pochodzący z Bęczyna przyszedł do mnie klócić się, że on pracujący w hartowni miał opłaconą zupę, a teraz jej nie dostał. Ci, co mieli bliżej wychodzili na przepustkę, aby w jedzenie zaopatrzyć się w domu. Gdy strajk objął całą fabrykę, zaopatrzenie w żywność było organizowane przez NSZZRI Solidarność Wiejską. Wówczas mieliśmy jedzenia już pod dostatkiem. Pierwszy ciepły posiłek zjadłem dopiero na trzeci dzień i to jeden z kolegów zauważył, że ja może nie jadłem, ale w tym czasie dla mnie nie było to najważniejsze, trzeba było

ludzi podtrzymywać na duchu. Skonstruowano radio, na którym można było słuchać Wolnej Europy. Wiadomości były nie najlepsze. Stąd dowiedzieliśmy się o pacyfikacji kopalni Wujek. Dochodziły teraz wiadomości o likwidacji pobliskich zakładów.

We środę czy może we czwartek, dziś już dokładnie nie pamiętam, bo tu były dni podobne do siebie, mieliśmy mszę św. przez radiowęzeł, a potem na każdą halę przyszedł ksiądz. Spowiedź ogólna jak w warunkach wojennych [nadzwyczajnych] i potem Komunia Święta. Do Komunii przystąpili wszyscy. Było też kazanie, niestety, zamiast podtrzymywać nas na duchu, po nim powstała panika, z trudem trzeba było ludzi utrzymać. Ksiądz powiedział, że nasz opór jest daremny, bo Świdnik, Lublin i tu wymieniał pobliskie zakłady, jak Stalową Wolę, że te zakłady już padły. Trzeba było mówić ludziom, że to nieprawda. Miała być jeszcze msza następnego dnia, ale została przez nas odwołana. Według mnie kazanie było złe.

Następnego dnia helikopter zrzucił ulotki, nie znam ich treści bo nie zbieraliśmy, a wręcz przeciwnie, innym też zakazaliśmy czytania. Krąg niebezpieczeństwa zacieśniał się, wyczuwałem, że zostaliśmy już sami na Lubelszczyźnie. Tej nocy rozbito bazę ciężarową w Kraśniku, przewodniczący uciekł, szukając schronienia u nas. W dalszym ciągu, pomimo nadciągających dwóch dużych kolumn wojskowych wraz z czołgami, jedna od strony Stalowej Woli, Kraśnika, druga od strony Lublina, robiliśmy przygotowania do ewentualnej obrony, tzn. barykady z palet oraz ustawianie ich na wolnym placu przed ewentualnym lądowaniem helikopterów, bo takie często były widoczne nad naszym zakładem. Wynaleziono lampki na wypadek odcięcia prądu. Mieliśmy się utrzymać jak najdłużej. Zima i śnieg dawały znać o sobie. Ludzie z zewnątrz podchodzili pod druty, aby nam przynosić jedzenie, którego teraz mieliśmy pod dostatkiem. Mogliśmy siedzieć tu do wiosny. Wspomnę, że gdy byłem przy rozstawianiu warty, przyszedł staruszek, przyniósł trzy kanapki z szynką, którą tak trudno było w tym czasie dostać, żeby się podzielić z takimi, którzy są z daleka i może nie ma im kto podać. Ode mnie była żona z chłopakami, choć mogliśmy porozmawiać tylko przez druty.

I wreszcie noc z piątku na sobotę – pierwszy raz podczas tych dni ułożyłem się do spania. Zaprosił mnie Malec R., który się ulokował na podeście między maszynami. Zdobył kawałek płyty, więc było równo, nie gniotło. Nie wiem, jak długo spałem, gdy ktoś mnie obudził i spytał, czy słyszę, jak syrena wyje. Wśród kolegów słychać było podniesione głosy, jakieś biegania. Próbowałem uspokoić, żeby się powoli ubierali, bo w szatni robił się natłok, czekali na dalsze polecenia. Wśród nich znalazł się były oficer. Widać było, że to on doprowadza do paniki. Powiedziałem mu, że jeżeli wojsko ma takich tchórzów oficerów, to nie musimy się obawiać. Uspokoiło to trochę ten nastrój. Wreszcie syrena przestała wyć, był to znak, że „dwunastkę” już dopadli, więcej wiadomości w tym czasie nie było. Widać było, że dookoła ogrodzenia zamyka się pierścień z ZOMO czy wojska. Rozstawiali się co parę metrów. Kanonada wystrzałów przesuwiała się coraz bli-

żej, wyglądało, że zdobywają halę po hali. Jednocześnie widać było oknami, jak podchodzą z dwóch stron oddziały uzbrojone po zęby. Twarze ich były z wyglądu nieprzyjemne. Wyglądało, jakby byli naszpikowani wódką lub narkotykami. Drzwi mieliśmy zaryglowane, były tylko jedne na wypadek, gdybyśmy musieli wychodzić. Od środka można je było otworzyć. Do okien zamki, które latem zeszłego roku wykonali, teraz się przydały. Ustawiliśmy się w dawnym miejscu, czyli pod krzyżem. Mieliśmy też krzyż wykonany podczas strajku oraz namalowany obraz Matki Boskiej Bolesnej. Śpiewaliśmy przy tej kanonadzie nabożne pieśni. Wybito okno i wstrzeliwano gaz. Uruchomiliśmy wyciągi, wentylacje, lecz to nie skutkowało, bo wyciągi były wysoko, a gaz układał się dołem. Trudno mi określić, jak długo przy tej kanonadzie śpiewaliśmy, czas wtedy nie wchodził w rachubę. Zmuszeni byliśmy wyjść, gaz dokuczał, strzelanina trwała. Przy wyjściu zmyliliśmy ich bo te drzwi były mało używane. Widocznie mieli przewodnika, bo nie tu czekali. Trzymaliśmy się mocno pod ręce, aby nie mogli wyrwać, bo podobno, gdy im się udało kogoś wyrwać, to bili. Tak czwórkami wyszliśmy. Szliśmy wzdłuż szpaleru ustawionego po obydwu stronach, ciągle śpiewając, a na przodzie niesiono krzyż. Dziwna była to procesja. Szliśmy, nie wiedząc dokąd. Droga naszego pochodu była już przez nich kierowana. Co trochę w szyku zwartym, czyli ustawione, były szpalery, wyglądali jak zbójce. Szliśmy tak obok hali nr 8. Tu wyszła mała grupka ludzi i dołączyła się do nas. Potem hala nr 7. Na skrzyżowaniu stał czołg, potem drugi, chyba na wprost, tuż koło kuźni, przejechał przez ogrodzenie. Potem żałowałem, że nie wziąłem ze sobą butelki benzyny, którą miałem na taką ewentualność. Dalej obok „dwunastki” ciągle przy szpalerach ZOMO czy wojska, mundury i uzbrojenie mieli bardzo podobne. Teraz słysząc było kanonadę i wybuchy, to zdobywali już ostatnią halę. Zmierzaliśmy w kierunku bramy. Tu było pełno samochodów. W jednym z nich zauważyłem trumny, było ich na oko ze 7 sztuk. Kolumna samochodów była aż do samego skrzyżowania. Gdy się zbliżyliśmy do skrzyżowania, odłączyłem się od kolegów, bo zauważyłem na przystanku autobusy. Cały czas myślałem jednak o ucieczce, a dokąd idziemy nie wiedziałem. Tu wsiadłem do autobusu w kierunku Urzędowa, podobno na Bęczyn już odjechał. Nie było zresztą czasu kogoś o to się zapytać. Autobusy w kierunku Urzędowa były skierowane przez Fabryczny a potem lasem w kierunku Terpentyny do szosy Dzierzkowice–Urzędów. Droga od strony Urzędowa do fabryki była zatłoczona wojskiem. Na Leśniczówce chciałem wysiąść, ale ludzie mi nie pozwolili, mówiąc, że gdzieś w lesie mogą mnie zatłuc. Od Urzędowa do domu przyszedłem pieszo, była godzina 6.00 dnia 19 grudnia. Po wyspaniu się w domu zaczął się dla mnie nowy rozdział. Była sobota, byłem umęczony, nie wiedziałem, co przyniesie następny dzień.

Zwolnienie z pracy – przesłuchanie

W poniedziałek, tj. 21 grudnia, wypadła mi druga zmiana, łączności z kolegami nie miałem. [...] Dojechałem na drugą zmianę. Przed bramą były ustawione dwie duże

kolejki ludzi. Każdy był szczegółowo sprawdzany. Na każdym przejściu było oprócz strażnika jeszcze dwóch. Jeden z nich był w mundurze ZOMO, drugi cywil, każdemu źle patrzyło z oczu. Stałem w kolejkę, byłem już niedaleko, gdy podszedł do mnie Miziński, kolega z pracy, i powiedział dosłownie tymi słowami: „Kazik i ty jesteś na liście”. Obejrzałem się. Przede mną i za mną byli ludzie, teraz nikomu nie można było wierzyć, czułem, że stojący przede mną się obejrzał, chyba słyszał. Na wycofanie się było teraz za późno, postanowiłem ryzykować. Odruchowo powiedziałem mu, że dobra, za bramą pogadamy, aby nie rozwdził się dalej. Na bramie wszedłem śmiało, podałem przepustkę najbardziej paskudnej gębie, sprawdził nazwisko z listy, odczucie miałem, że może nie umie czytać, co z daleka już było widoczne, kazał iść. Dodam, że była to lista, jak się później dowiedziałem, tych co nie zdążyli jeszcze wylapać. Podobno w sobotę na tę listę podawali kierownicy, gdy nas po strajku wyprowadzono. Doszedłem z tym kolegą na halę, po wejściu zauważyłem, że wszyscy patrzą na mnie jakoś podejrzliwie. Nikt mi nic konkretnego nie powiedział, chyba w ich oczach byłem zdrajcą. Przystąpiłem do obowiązków, jakie dotąd miałem powierzzone, więc poszedłem do kontrolerki po kartki na cukier, pobrałem dla całej załogi, po czym rozdałem ludziom. Dodam, że cukier był już w tym czasie reglamentowany.

Potem przystąpiłem do kończenia roboty, którą rozpocząłem przed strajkiem. Pracowałem już dwie godziny, w dalszym ciągu nie rozmawiając z ludźmi, którzy ciągle spoglądali w moją stronę podejrzliwie. Myślałem, że już wszystko jest na dobrej drodze. O godzinie 17.00, czyli już dwie godziny pracowałem, niespodziewanie przyszedł w pełnym uzbrojeniu czyli z bronią strażnik. Przeprowadził go majster Błazucki, dziwne bo on też był przewodniczącym na takim samym szczeblu jak ja. Zapytał czy wiem, że jestem zwolniony z pracy i mam pójść z tym panem pod bronią. Zapytałem dokąd? Odpowiedział, że nie wie, ma mnie odprowadzić do bramy. Powiedziałem: „To trzeba by się przebrać i wziąć przepustkę”. Odpowiedział, że nie trzeba i pokazał mi przepustkę, którą trzymał w ręku. Gdy odchodziłem, z trudem wypowiedziałem te słowa: „Cześć chłopaki”. Tym razem spojrzenia były trochę inne, nie nienawistne, dało się to odczuć. Podszedł jeden z młodych pracowników, Żywot, podał mi rękę i powiedział, że to co jest zasiane to wszędzie. Tak w asyście opuszczałem długoletnią pracę, po drodze do bramy mijaliśmy parę osób, które się oglądały, jakby to było coś nadzwyczajnego.

Przesłuchanie. Doprowadzony byłem do pomieszczenia przy bramie. Za stolikiem siedział gruby niewielkiego wzrostu. Padło ni to pytanie, ni forma pouczenia, że ja taki poważny a czepiłem się takiej głupoty, że powinienem sobie zdawać sprawę w jakim świecie żyjemy itd. Odpowiedziałem wcześniej, że nie rozumiem jakiej głupoty, a dalej powiedziałem, że ten świat lepszy powinniśmy tworzyć sami. Teraz z kolei, że to wszystko niby nie chce pracować i ja się w to dałem wciągnąć, na co dopowiedziałem, pokazując moje odciski na rękach, że od 17 lat jestem robotnikiem, a pan niech pokaże swoje ręce, kim pan jest. Dodam, że było jeszcze parę pouczeń

pod moim adresem, raz tonem bardzo spokojnym, to znowu ostrym, gdy mu wprost odpowiadałem w ten jego wypróbowany sposób. Rozmawiałem z nim z pozycji siły, bo wtedy jeszcze nie wierzyłem w naszą przegraną. Wreszcie chyba uznał, że się ze mną nie zgadza, bo chwilę sfołgował. Ja z kolei wykorzystałem to i pytam, gdzie ja teraz pójdę. Odpowiedział, że do domu, ale ze mną ktoś jeszcze będzie rozmawiał. Potem okazało się, że było nas więcej, tamtych już wywieźli do Lublina, a że byłem tylko sam o tej porze nie mieli co ze mną zrobić. Był już prawie wieczór. Gdy się dostałem do domu, już wiedzieli, że mnie aresztowali, powiedziałem, że chyba mnie zwolnili z pracy. Po paru dniach przyszła decyzja o zwolnieniu. Zarzut był w tym czasie typowy dla wielu: „Organizowanie i udział w strajku – ciężkie naruszenie stanu wojennego”.

Przedsiębiorstwo Państwowe
FABRYKA ŁOŻYSK TOCZNYCH
im. M. Buozka
ROK ZAŁOŻENIA 1948

Kraśnik 23-210
Centrala tel. 20.41 i 64.11

Wzrost: _____
Ciężar: _____
Dyrektor: _____
Z-ca Dyr. ds. Techn.: _____
Z-ca Dyr. ds. Ekon. i Eksp.: _____
Z-ca Dyr. ds. Handl.: _____
Dział Złóż i Ekspozycji: _____
Telefon: 0642321

Ob. _____
Marecki Kazimierz
prac. N-1
=====

Wzrost: _____ Ciężar: _____ Data: 19.12.81r.

Wzrost: _____ Ciężar: _____ Data: 19.12.81r.

Z dniem 19.12.81r. rozwiązuję z Obywatелем umowę o pracę na podstawie art. 52 § 1 pkt. 1 kodeksu pracy za ciężkie naruszenie podstawowych obowiązków pracowniczych polegające na organizowaniu i udziale w strajku w dniach 15 - 18.12.81r w czasie trwania stanu wojennego.

BLANKIET KORESPONDENCYJNY FIRMOWY
BZ1-Z/III-71 b-PN-76/P-55315-B
Konto bankowe NBP O/Kraśnik 43124-26

Zwolnienie z pracy w Fabryce Łożysk Toczących

Był to dla mnie cios. Byłem zadłużony pożyczką w banku i miałem dwie pożyczki z fabryki na budowę domu, a spłacać trzeba było. W fabryce zostali obciążeni żyranti. Tam w trudnych chwilach na początku koledzy robili zbiórki, przekazując pieniądze żyrantom, później jednak ta pomoc ustała. Z czasem sprzedałem wyhodowanego byka i spłaciłem resztę zadłużenia w fabryce, rozliczając się z żyrantami.

Po pewnym czasie zjawił się ten ktoś, kto miał ze mną rozmawiać. Był to sekretarz PZPR w gminie. Proponował, abym wyraził zgodę, nie wiem jaką, bo była niedopowiedziana, a on przedzwonił do sekretarza w fabryce Bro-

dowskiego i zostanie przyjęty ponownie jakby się nic nie stało, z miejsca będę pracował. Odpowiedziałem, że nie, mnie ma kto pomóc. Pomoce jednak choć symboliczne, ale były. Dostałem trochę odzieży przyniesionej przez S. T., również od księdza Bacy 3 tysiące złotych oraz tysiąc od Szlaffkowej. Żywność, która nadchodziła z zagranicy rozdzielał i rozwoził ksiądz. Na taką pomoc było bardzo dużo chętnych, przeważnie ci, co im się nie należało.

Po pewnym czasie przyszli do mnie Stańczuk i Chrusciel. Powiedzieli, że wszyscy zwolnieni odwołują się do sądu o przywrócenie do pracy, nawet mi napisali wzór odwołania. Więc wysłałem pocztą i ja. Potem była rozprawa, przygotowałem się co mam mówić oraz wziąłem ze sobą dyplomy, które otrzymałem za dobrą pracę. Przeczynałem, że postawiony będę w świetle złego pracownika. Rozpraw było jednego dnia osiem-dziewięć, zwykle w najlepszym wypadku jedna wygrana. Czekaliśmy w ciasnym korytarzu, nie miał nikt obrońcy, ponieważ adwokaci mieli odjęte prawa przy takich sprawach. Wreszcie zostałem wezwany, oskarżycielem był kierownik i Suski, jego zastępca. Nie udowodniono mi organizowania strajku, natomiast udział w nim. Powiedziałem, że na tych samych zasadach uczestniczyło 5000 osób, przydały się też dyplomy, bo kierownik oskarżyciel powiedział, że byłem złym pracownikiem, wówczas wyjąłem dyplomy i zapytałem kto i za co mi to dał. Dalsza mowa kierownika już się nie kleiła, ponieważ był jego podpis. Więc na tę całą dziwną sprawę ja tylko wygrałem sprawę. Orzeczenie brzmiało, że jestem przyjęty na dotychczasowych warunkach pracy i płacy. Przedwczesna była moja radość. Zaraz na drugi dzień zgłosiłem się do fabryki, zaczęto mnie przyjmować, trwało to parę dni, miałem się zgłosić po przepustkę, gdy nagle niespodziewanie kazano mi czekać, a więc fabryka składała apelację – przeczuwałem. Od samego początku spostrzegłem, że miałem anioła stróża. Była to gęba jakby mi znana, niedużego wzrostu, krępy i te rude wąsy. Chodził za mną krok w krok, a nawet chciał nawiązać rozmowę ze mną, zapytał podchwytliwie co sądzę o panu Jaruzelskim na co odpowiedziałem wymijająco, był pod tym względem natarczywy, wreszcie powiedziałem mu, że jeżeli chce ze mną rozmawiać niech przyjdzie do mnie do domu. Przedstawił się jako przewodniczący w Inwalidach. Znowu czekanie na rozprawę w Lublinie. Noce dla mnie były koszmarem, od samego początku stanu wojennego przeprowadzano rewizje i aresztowania.

W międzyczasie, czekając na rozprawę, zarejestrowałem się jako bezrobotny w biurze pracy, które było teraz w gminie w Urzędowie. Byłem za pracą w paru miejscach jak np. w firmie budowlanej przy fabryce. Ludzi do pracy było im potrzeba, była wiosna. Po zgłoszeniu się do biura wymieniono zawody jakich im potrzeba do pracy, odpowiedziałem, że w każdym tym zawodzie mogę podjąć pracę. Byłem na dobrej drodze do przyjęcia, ale gdy doszło do zaświadczenia z ostatniego miejsca pracy, powiedziano mi, że nie ma o czym mówić, nawet nie chciano ze mną rozmawiać. Potem dowiedziałem się, że dyrektorzy dostali polecenie, aby takich osób jak ja nie przyjmować. Zrozumiałem, że pracy nie dostanę nigdzie. A tak mi była potrzebna, jak już wspominałem byłem zadłużony, na żywność nie starczało. Teraz pomoc stopniowo ustawała.

Dalsza budowa domu została przerwana, nie było o czym mówić, do nas zakradła się bieda, nie było co do garnka włożyć. Jednak do nikogo się nie pożaliłem. Chłopaki kończyli podstawówkę. Piotrek poszedł do zawodówki elektrycznej w Kraśniku. Mirek sposobił się do ogólniaka, szykował się po nim na studia. Dotąd chłopaki wierzyli we mnie, uważali, że co robię to wszystko dobre. Byli lubiani przez ludzi.

No, ale wracam do dalszych moich losów. Dostałem numer telefonu do adwokata w Lublinie, nie każdy mógł występować, większość miała odebrane prawa, aby występować w takich sprawach jak moja. Telefonicznie nie można było porozmawiać – „cenzura”. Zadzwoiłem pod dany numer, odebrała kobieta, nie pytając o co chodzi powiedziała godzinę i dzień przy kościele, nazwy już nie pamiętam, wiem że było to nad Bystrzycą koło parku. Tam też się zgłosiłem, dodam, że dzwoniłem z Kraśnika Starego z poczty. Zdziwiłem się, że umówiony byłem z kobietą a przyjął mnie mężczyzna – mecenas Zawadzki. Wysłuchał i powiedział, że trudno będzie wygrać bo te sprawy prowadzi sędzia, który się wślawił w Poznaniu w '56 roku, ale poprobujemy. Formalnie opłaciłem w zespole adwokackim, jak mi powiedział, symboliczną cenę. Nadszedł dzień rozprawy, z fabryki teraz był oskarżycielem radca prawny o nazwisku Madej. Tak jak było przewidziane, sprawa wyszła na moją niekorzyść. Potem było takich spraw jeszcze trzy, niestety nikt takich nie wygrał więc doszedłem do wniosku, że to wszystko z góry było kierowane, wiedziałem, że nie wygram. Pewnego dnia, gdy moja sprawa się odbywała, dochodziły krzyki, też za oknem trwała demonstracja. To było chyba 3 maja na Placu Litewskim. To trzymało mnie na duchu.

Bonek Kotowski dowiedział się, że szukam pracy. On dorwał lastryko na Wodnej, przyjechał do mnie i zatrudnił. W tym kierunku nie miałem doświadczenia, ale pod jego ręką wykonywałem to, co mi zlecił. Miałem ofertę do młyna, jednak w tym wieku, nerwowo wyczerpany i z niezbyt dobrym zdrowiem bałem się podjąć pracy młynarza. Spotkałem się z Brońcer R. pracował w SKR-rze w filii w Popkowicach. Prezesem był Matyjasek, powiedział, że pogada z nim na stanowisko tokarza. Tam oprócz części potrzebnych do ciągników do remontu szła produkcja obudów do łożysk z odlewów żeliwnych. Matyjasek się zgodził ale nie na stałego, na tak zwaną umowę-zlecenie i jeżeli ktoś będzie „dłubał” pod moim adresem to w każdej chwili będę musiał odejść. Bo, jak wspominałem, był nakaz odgórny, ale nieoficjalny nie przyjmować nas. Tak zacząłem pracę w SKR w filii w Popkowicach. Warunki pracy były fatalne, była to wiata czyli szopa, latem jako tako, lecz gdy przyszła zima, wiatr hulał, brak narzędzi, nie było się gdzie umyć, myśliśmy się w zimnej wodzie w misce dosłownie. Był co prawda wykonany przez pracowników piec centralnego ogrzewania z dużym wystającym na dach kominem, do którego trzeba było zawsze wody dolewać, bo gdzieś się ulatniała. Wodę lało się w to centralne wychodząc na dach, podawaliśmy wiadra wody ustawiając się jeden koło drugiego. Ten piec dymił, przy tym nazywaliśmy go „Batorym” bo do tego i warczał.

Po roku prezes zaproponował mi, abym złożył dokumenty na stały etat ponieważ dłużej takiego pracownika

na tych warunkach nie może trzymać, a jak dotąd nikt pode mną nie kopie. Przy tym będę mógł korzystać z urlopu i innych przywilejów na równi z innymi pracownikami. Dojazdy do pracy były fatalne. Od miejsca pracy z domu dzieliło mnie 10 km. Z Urzędowa do Popkowic dojeżdżałem „rozkładem” bez biletu miesięcznego. Gdy z Bęczyna chciałem dojechać do Urzędowa to się spóźniałem na ten autobus, który leciał do Wilkołaza, aby dojechać do Skorczyc a stamtąd 3 km piechotą, gdy chciałem zdążyć i złapać Wilkołaz to do Urzędowa szedłem piechotą. Z powrotem też do Bęczyna nie łapałem połączenia, czyli te trzy kilometry tak w tamtą, jak i powrotną stronę jakby nie kombinować musiałem codziennie przejść piechotą. Z ludźmi tutejszymi nie miałem żadnych zatargów, choć o mnie wszystko wiedzieli, a przecież ci z Popkowic uchodzili za najgorszych drani. Gorzej było z ludźmi z Urzędowa, przytoczę jeden przykład. Jeden z traktorzystów „powsiadł” na mnie, że to ja tego wszystkiego narobiłem. Przeze mnie jego brat się przeziębził, a wprost powiedział, że umarł, bo go wzięli do ZOMO. Od czasu do czasu były docinki pod moim adresem, ale to wszystko musiałem jakoś znieść.

Nadszedł wreszcie czas, aby rozliczyć się z fabryką. Dotąd, choć minął rok, miałem nadzieję, że mnie przyjmą, teraz takie rozliczenie było potrzebne do podjęcia pracy na stałe w SKR-rze. Pojechałem, uprzednio podałem kluczyki od szafek narzędziowych, aby koledzy pozabierali sobie potrzebne im narzędzia. Byłem dobrze przez lata zagospodarowany, miałem porobione niemal wszystkie potrzebne do pracy narzędzia, a przyrządy pomiarowe regenerowałem ze starych wyrzuconych na złom, potem jak ocenił majster, było ich więcej jak w wypożyczalni. Gdy pojechałem, zostałem doprowadzony przez uzbrojonego strażnika. I o dziwo zjawił się majster Błazucki, ten co wyprowadzał mnie z fabryki. On nie był moim majstrem, choć na tej zmianie był majster z tego gniazda. To nie był chyba przypadek. Otworzyłem szafki, wszystko było na miejscu jak przed rokiem, nikt niczego nie wiał a na dodatek przyniósł mi młody chłopak suwmiarkę, o której nie pamiętam, że pożyczył ją jeszcze przed strajkiem, byłem nawet zły, mógł sobie zatrzymać. Oddałem klucze temu majstrowi, zamknął i to było całe rozliczenie. Zostałem wyprowadzony.

Teraz po załatwieniu rozliczenia z fabryką stałem się formalnie stałym pracownikiem w SKR. Oczywiście mogłem korzystać z urlopu, który otrzymałem z wyrównaniem za okres pracy na umowę-zlecenie. Grupy, w związku z artykułem 52 o stanie wojennym, zdjęto mi dwie. Czyli przyjęty zostałem na 7. grupie zaszerogowania. W fabryce miałem dziewiątą, czyli najwyższą w tym czasie. Stopniowo z biegiem czasu doszedłem do jedenastej.

Przyjęto tu do pracy jeszcze jednego, podobnie jak ja zwolnionego z fabryki. Był to Żuber Zdzisiek. Szybko nawiązaliśmy ze sobą kontakt. Teraz mogliśmy już ze sobą rozmawiać otwarcie, nie o wszystkim, przeczuwałem, że mamy przed sobą tajemnice. Do wyjawienia ich ani ja nie dążyłem, ani on nie był prędko, tak trzymaliśmy się jakiś czas na dystans. Zauważyłem, że nieraz na jego rękach jest farba drukarska, którą niełatwo zmyć, ale nie



Z żoną i synami

wnikałem w to, co on robi. Była to niebezpieczna praca. Często zajeżdżała tu milicja, wiem, że my byliśmy w centrum ich zainteresowania, na pewno miałem odczucie, że wypytują o nas pracowników i kierownika, którym był w tym czasie Deleczek. Był on bliskim kuzynem mojej żony, lecz nic mi o tym nie mówił, ja jemu też. Milicja bardzo często brała próbki z maszyny do pisania, raz nawet chyba to był tylko pretekst, zlecono nam dorobić zamek do aresztu, mijaly dni w ciągłym napięciu. Częściowo się zmieniłem co do mojej dawnej odwagi, byłem mniej pewny siebie. Ta wzmożona kontrola, jak się dowiedziałem, nie była przypadkowa, na Zakościelnym wykryto tajną drukarnię, były aresztowania. Teraz Zdzisiek Ż. zagrał ze mną w otwarte karty – aby zmylić ich i jednocześnie zachować ciąg wydawania podziemnego biuletynu, trzeba uruchomić w nowym miejscu drukowanie. Zapytał mnie wprost czy się podejmę tej roboty, nie odmówiłem. Poza moimi plecami widocznie był w kontakcie z kimś innym, nawiązał znajomość z Markiem Popłońskim i to podczas mojej nieobecności w domu ktoś ich musiał umówić. No, ale to nie ode mnie zależało. Ja oceniałem, że jesteśmy o krok od wpadki. W takich oto warunkach przyjąłem na siebie obowiązki tajnej drukarni, za które w nagrodę było ciągle niebezpieczeństwo, bo wśród takiego otoczenia wpadka groziła każdego dnia. To było jak igranie z ogniem, a przecież miałem rodzinę. Myślałem, że gdy

się to wszystko skończy, ktoś doceni ten wysiłek, ale tak się nie stało. Bohaterami zostali ci, co w dalszym ciągu najmniej się udzielali. W takich warunkach podjąłem się tak niebezpiecznej pracy. Dziś po latach, gdy piszę, jestem obłożony chorobą, może niedokładnie, pamięć może zawieść. Przyszedł Zdzisiek Ż., przyniósł cały majdan, tj. maszynę do pisania, matryce, papier oraz powielacz, który był wykonany w dość prymitywny sposób, była to deska o stosownych wymiarach, wałki chyba od wycinacza pralki oraz farbę, którą tylko można nazwać drukarską, śmierdząca niesamowicie. Było to umówione, bo przyszedł Marek Popłoński, aby po wydrukowaniu i wyschnięciu zabrać ode mnie te, w tak prymitywny sposób wykonane, biuletyny. To było jego zadanie, potem rozprowadzić w stosownym miejscu. Zdzisiek pokazał nam, jak się to robi. Dodam, że jak na początek wyszło nieźle, trzeba było uważać, aby nie zepsuć matrycy, drugiej przygotowanej do druku nie mieliśmy. Matryca taka wystarczyła na 150 do 200 szt. Tyle też odbijaliśmy. Pierwszy numer, czyli serię, wykonaliśmy u mnie w kuchni, aby prędzej schłó przy palącym się pod grubką ognisku. Od samego początku był zaangażowany Piotrek. Po skończonej takiej pracy, na mojej głowie było tę drukarnię zachować tak, aby nic się nie zniszczyło i nikt tego nie znalazł, czyli musiałem dobrze schować oraz zatrzeć wszystkie ślady. Było to tym trudniejsze, że była to późna jesień lub początek zimy. Następne numery wykonywaliśmy już sami z Piotrkim. Marek P. został wyłączony, tylko zabierał ode mnie gotowe numery. Uzgodniliśmy, że po wydrukowaniu 5 do 7 numerów dla bezpieczeństwa tę pracę weźmie ktoś inny. Czyli będzie zabrana ode mnie, więc przynosił to, nie pytając gdzie. Co roku jednak na te kilka miesięcy wracała do mnie.

Co do Zdziśka to też puszczone propagandę, że jest zdrajcą, a to dlatego, że zachował zimną krew, gdy niemal by wpadł. Kiedy wracał do domu na Fabrycznym, był obławiany, w wypchanej teczce miał dosłownie wszystkie potrzebne do druku narzędzia. Było obstarwione przez SB i milicję, w mieszkaniu przetrząsnęto wcześniej wszystko. Więc on do nich swoim zwyczajem i z uśmiechem: „No to teraz wam się udało, teraz to mnie złapaliście”. I tymi słowami wprowadził ich w błąd. Postawił teczkę koło nogi, zrobili rewizję po kieszeniach natomiast teczki nie skontrolowali. Z daleka ktoś z kolegów to widział i nie wierzone, że gdyby nie miał układów z nimi to by go aresztowali.

Podczas tych koszmarnych dni stanu wojennego miałem możliwość pojechania do Częstochowy. Był wyjazd zorganizowany dla takich jak ja. W domu było dużo pracy, żniwa się kończyły, ale byłem powiadomiony, zdecydowałem się z miejsca, natychmiast, że pojedę. Wyjazd był nocą, więc po ciężkiej pracy liczyłem, że odpocznę w autobusie. Nie było czym dojechać do Fabrycznego, więc pomimo zmęczenia poszedłem pieszo. Na domiar złego autobus był przepełniony, dla mnie tylko miejsce stojące. Z trudem dojechaliśmy, bo kierowcę skierowano drogą objazdową, nadrobił ok. 60 km więcej. Tam dojeżdżali niemal ze wszystkich miast z całej Polski. Przed nami przyjechał Świdnik. Przy rozwiniętych tam transparentach niemal 5 godzin stałem na placu przed klasztorem.

Uczestniczyłem w dwóch mszach oraz wysłuchałem patriotycznych kazań, było dużo przywódców Solidarności, a wśród nich Wałęsa. Nigdy bym się nie spodziewał, że tak długo wytrzymam, gdy wracaliśmy czułem się dobrze, tak jakbym był wypoczęty. Droga powrotna też była określna, do domu dotarłem nocą.

Pewnego wieczora postanowił Zdzisiek przenieść drukarnię. Tym razem poszliśmy obydwaj. Nie pytałem dokąd. Była zamieć śnieżna. Dotarliśmy przez Urzędów, potem od magazynów na róg Wodończy. Miał kluczyki od takiej budki czyli altanki, jakich na tych polach było kilka. Ale nie byłem ciekawy, czyja jest i Zdziska nie pytałem, lepiej było mało wiedzieć, bo trzy osoby to już było za dużo, łatwiej można było się wsypać. U mnie też był nieznajomy, miałem mu udostępnić maszynę do wykonywania matrycy. Było to ryzyko, bo przyszedł sam ale powiedział, że go przysłał Zdzisiek. Zamknąłem go na klucz, a my domowi poszliśmy młócić. Potem powiedział, że wieczorem nie można, bo podejrzenie wzbudza stukot maszyny, który dość dobrze na zewnątrz domu było słychać.



Pożegnanie z kolegami po przejściu na rentę (na zdjęciu Stańczak)

W Kółku w Popkovicach pracowałem nadal. Przychodzili różni ludzie z takimi robotami, których oprócz mnie nikt nie potrafił zrobić. Przez ten czas pracy zrobiłem remont tokarni typu Niles. Wrzeczono było zatarte. Dziwne mi było, że taki kolos a można na nim wziąć pod nóż tylko 4 mm na jedno przejście, w fabryce była taka to się dawało na całą płytkę noża. Były dwie jeszcze Proletariat i jedna do małych rzeczy. Przydało mi się obserwowanie remontu w fabryce. Teraz przywieźli do roboty kołnierz o dużych wymiarach do rur gazociągu. Miałem też inne roboty jak np. wał do tartaku oraz osie do wozu lub przyczepy. Dam tylko przykład, że za głupią nakrętką z lewym gwintem do glebogryzarki przyjechali z Annopola. Mówili, że objeżdżili wszystkie okoliczne zakłady i nie było fachowca, który mógł to zrobić, dla mnie to była normalna praca, bo nie robiło mi różnicy czy nożem nacinać w lewo czy w prawo. Toteż uchodziłem za fachowca. Stopniowo awansowałem do 11. grupy, bo teraz zmieniona była 9. najwyższa. Niestety zarobki były słabe, przy tym brak narzędzi. Kiedyś prezes zapytał ile bym chciał, aby zostać na stałego. Odpowiedziałem, że

przy tym braku wszystkiego trzeba by dokupić narzędzi. Coraz częściej przychodziła mi myśl, że gdy się przydarzy okazja powrócę do fabryki. Zbyt długo tam wrastałem, tam straciłem zdrowie, tam było inne środowisko, kole-dzy. Podczas mojego urlopu doszły mnie słuchy, że jest nowy kierownik. Jechałem po urlopie do pracy, wysiadłem w Popkovicach, udając się w kierunku bazy, gdy podszedł do mnie młodszy ode mnie szczupły blondyn, pytając czy to może ja tu pracuję. Gdy potwierdziłem, zaczęła się rozmowa, widać było po nim życzliwość. Okazało się, że on podobnie jak ja był ofiarą stanu wojennego i powiedział, że on to doprowadzi do porządku. A dla mnie postara się, abym tu nie miał krzywdy. Jak się okazało było to w toku załatwiania, podpisał umowę z odlewnią Lublin przy FSC na grzejniki do centralnego. Jednym słowem chciał podnieść rangę naszego zakładu. Grzejniki w tym czasie były poszukiwane, a więc i zbyt, i zarobki by były. Po pewnym czasie był zmuszony zaniechać tych planów. Na rozruch trzeba było trochę pieniędzy. Ja go już wcześniej przestrzegałem, że to nie wyjdzie. Od niego dowiedziałem się, kto podawał nas z fabryki do zwolnienia. Otóż po rozbiciu strajkujących kierownicy podawali listę do zwolnienia. On był kierownikiem na butlach, tam spawano butle turystyczne. Powiedział, że nikogo nie poda do zwolnienia, więc musiał podzielić nasz los. Był inżynierem, więc przyjęto dla niego inną formę, kazano mu szukać sobie pracy. Nazwisko jego było Pyzik A.

Ja ciągle myślałem o powrocie do fabryki. Większość zwolnionych już pracowała w różnych zakładach – Chruściel w SKR Kraśnik, inni u prywaciarzy. Stańczuk, Siemion założyli własny zakład na Piaskach. Produkowali ozdobne świeczniki z drewna, ale nie za bardzo na tym wychodzili, musieli kupić maszyny oraz surowiec, drewno, które wymagało dłuższego wyschnięcia. Pewnego dnia przyszedł do mnie do pracy jeden z pracowników FŁT na Wydziale Mechaniki i w rozmowie pyta czy gdyby była możliwość przyjęcia mnie do „Mechanika” to bym się zgodził. Oczywiście wydziały produkcyjne mnie nie interesowały, tylko te trzy: Narzędziownia, „Mechanik” lub Doświadczalny, co jeszcze wyraziłem na rozprawach, bo może na produkcję byłoby się łatwiej dostać, tam na te wydziały pomocnicze z kolei powiedziano mi, że nigdy nie powrócę a to z tego powodu, że miałem dużo znajomych i kolegów z dni strajku. Powiedziałem mu, że nic z tego bo mnie nie przyjmą. Powiedział, że porozmawia z kierownikiem. Jest tam potrzebny tokarz i poszukują takiego. W SKR w Popkovicach dla mnie już teraz się polepszyło. Nowy kierownik stał się kolegą. Zjawił się ponownie ten kolega, powiedział, że kierownik w „Mechaniku” wyraził zgodę na moje przyjęcie, podał numer telefonu, gdy przyjadę, żebym się z nim bezpośrednio kontaktował. Tak też zrobiłem, jednak byłem zawiedziony, zastępca jego był przeciwny, poradził mi abym zadzwonił do Narzędziowni, bo tam jest pilnie poszukiwany tokarz. Wynioskowałem, że obydwaj już wcześniej rozmawiali. Tak też trochę z ciekawości uczyniłem. Zrozumiałem, że na to tylko czekał kierownik Rusinek, kazał załatwiać formalności i przyjść. Zdecydowałem się tak zrobić. Musiałem się najpierw zwolnić z SKR. Było to trochę ryzyko, że mogę zostać na lodzie.